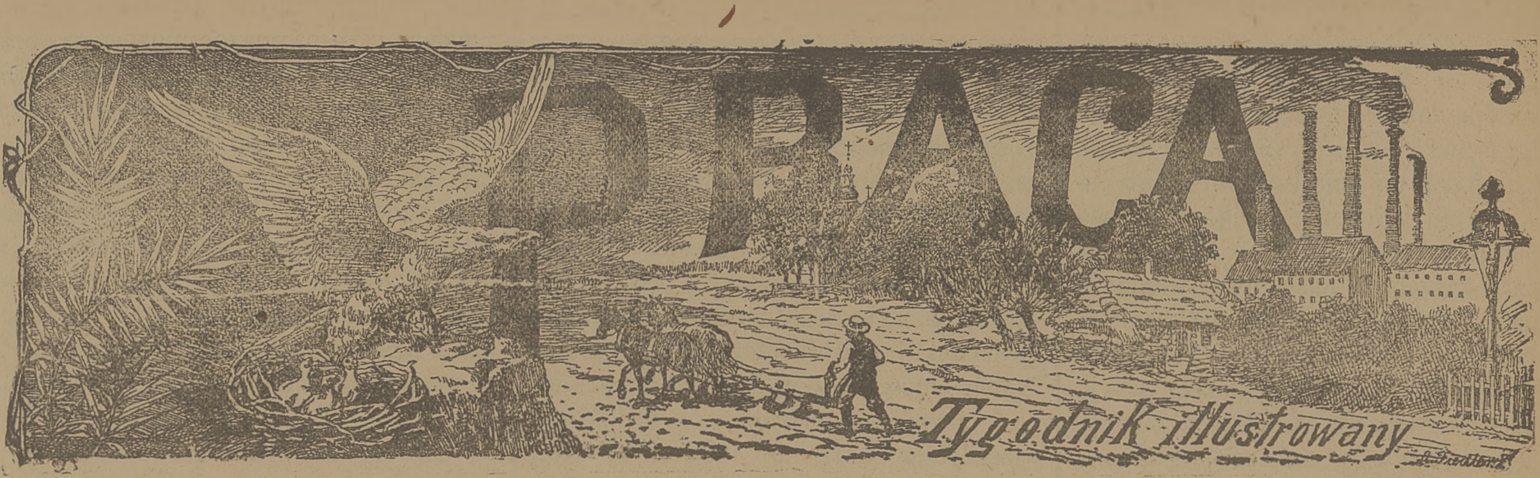
Nr. 31. Poznań, Niedziela 29-go Lipca 1900 r. Rok IV.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1 markę;** *na poczcie w Austro-Węgrzech* **59 cent.**
Pod opaską: *w Niemczech* **1,65 mr.,** *w Austro-Węgrzech* **1 złr.,** *za Oceanem* **1 dolar.**
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. — Telefon Nr. 295.

Manuskryptów nie zwraca się.

Do Czytelników.

Bardzo rzadko odwołujemy się do naszych Czytelników, albowiem na brak poparcia z ich strony narzekać nie możemy. Daje to nam więc otuchę, że skromne nasze usiłowania budzenia myśli trzeźwej i samowiedzy społecznej są oceniane. Okoliczność tę wszakże nie tyle uważamy za naszą, ile za Waszą zasługę, Czytelnicy, którzy dajecie posłuch naszym nieraz cierpkim przemówieniom. Bez tego zaś posłuchu i poparcia istnieć byśmy nie mogli... Uważamy więc siebie jedynie za mandataryuszów, za posłów Waszej myśli i Waszych pragnień. Pojmując to wszakże i oceniając należycie doniosłe znaczenie takiego mandatu, pragnęlibyśmy z tego godnie wywiązać się: a więc prasę naszą wzmocnić i ulepszyć, by stała się bardziej owocną, by głos „Pracy“ a zarazem i Wasz, Czytelnicy, w których imieniu przemawiamy, stał się bardziej doniosłym i przeniknął wszędzie, gdzie dźwięczy mowa polska. Wzmocnienie takie wszakże nie od nas samych zależy. Pismo nasze jest bardzo tanie, skrępowani przeto jesteśmy szczupłemi środkami wydawniczemi, zmuszającemi nas do zamykania się w ciasnych ramach dobrych wprawdzie, lecz nie zawsze skutecznych usiłowań... Pojmujemy to aż nadto dobrze i, dalecy będąc od zarozumiałości, przyznajemy się chętnie do braków i niedokładności w pracy dotychczasowej. Braki te usunąć jest w Waszej mocy: starajcie się o jednanie życzliwych i prenumeratorów dla naszego i Waszego pisma, a gdy ich grono się zwiększy, gdy będziemy mieli rozwiązane ręce w zakresie szczodrości wydawniczej, wtedy, bądźcie pewni, nie pożałujemy sił i trudów, aby dać Wam pracę publicystyczną bardziej skończoną, bardziej pożyteczną i bardziej owocną...

Redakcya.

Szczęść Boże!

Po wszystkich naszych wsiach usłyszysz dziś wesołe pobrzękiwanie kos, wszędzie, gdzie jest młodzież — śpiewy, żarty i nawoływania, by przodownicy i przodownice szły żwawo naprzód. Kosy im w ręku gwiżdżą, sierpy zgrzytają, grabie kłosy ściągają do gromady, a pot z czoła nieraz strumieniem płynie. I pomimo tego potu w duszy wszystkim wesoło; każdy rwie się do pracy wśród łąk i łanów złotego zboża, a rwie się do niej tymbardziej, że długo było niepewne, co Bóg da: plony dobre, czy liche?

Spodziewano się nawet ogólnie plonów lichych, bo zdawało się, że je zniszczą zimna, a potem susze wielkie. Tymczasem teraz, co się kto zjawi ze wsi, to z twarzą uśmiechniętą.

— Niesłuszne były — powiada — obawy: Bóg dał. Żyto wszędzie mamy trochę słabsze, ale ogólnie oziminy nie są jeszcze najgorsze. Tylko jarzyny ucierpiały, ale jeśli nawet są one gdzie bardzo złe, lub przyorywać je trzeba było, to tylko miejscami; ogólnie, jak Wielkopolska długa i szeroka — chleba będzie dosyć i uskarżać się na plony nie można...

Tak mówią nam Czytelnicy, a opowiadanie to cieszy nas tak samo, jak cieszy gospodarza, gdy z pełnemi furami wjeżdża do sąsieka i gdy w nim aż pod strych układa a układa i zmieścić plonów nie może, więc ukontentowany bierze się do stoga.

Obyż takich stogów Bóg dał jak najwięcej!

Dla młodzieży, dla parobków i dziewcząt, to wesele nie lada iść z kosą, z grabiami lub z sierpem na pole, bo to

Śmiechy, ochota,
Choć w słońca skwarze
Ciężka robota.

A pomimo tej ciężkiej roboty, przyśpiewując sobie, wesoło się nawołując, skowronka, przepiórki i konika polnego słuchając, miło jest myśleć o odpoczynku w niedzielę i znów o wesołej zabawie przed domem, pod lipą. I niech się tam młodzi bawią i weselą, a nam starszym godzi się na to wesele popatrzeć, żartem jakimś zabawę, byle uczciwą, podniecić, a pomodliwszy się, pomyśleć: pracuję, zabiegam, orzę, sieję, a Bóg szczęści, bo

Złote zagony
Zda się kołyszą;
Brzęczą jęczmiony
Pszenice wiszą.

Więc śpieszyć trzeba — po dary Nieba.

Śpieszcie więc Czytelnicy w pole, po plony a dobre! z Wami zaś przy pracy zawsze będzie nasze serdeczne

„Szczęść Boże!“

„Praca“.

Niesprawiedliwi.

Zdaje się, że jedną z cech naszego charakteru narodowego jest brak poczucia właściwej we wszystkiem miary — a najbardziej już miary w ocenianiu ludzi. Zasługi jednostek mających prawo do publicznej pochwały lub nagany, zazwyczaj bywają u nas niesprawiedliwie ważone. Działalność publiczną tych ludzi albo przeceniamy, albo jej niedoceniamy. W pierwszym wypadku, w wypadku przeceniania osobistych zasług, zdolności i pracy samochcąc psujemy sobie sami najlepszych działaczów społecznych, robiąc z pracowitego człowieka — niewiadomo jaki już talent, z talentu — geniusz. Puzony opinii publicznej głoszą od rana do wieczora chwałę odkrytego gdzieś w zapadłym Pociejowie geniusza, o którym świat nie wie i nic się nigdy nie dowie, a „geniusz“ zaczyna sam w to wszystko wierzyć i lekceważyć sobie prawdziwą pracę i prawdziwe zasługi. Kończy się zazwyczaj tem, że przecenianie czyjejś działalności społecznej z pożytecznego i pracowitego człowieka robi napuszałego dudka, który jest przekonany o nieskończonej wyższości swego rozumu ponad wszystkie zjawiska społeczne ich stosunkiem do własnego — zera.

Jeśli tak się rzecz ma z przecenianiem ludzi, o czem także parafiańskie stosunki w Krakowie np. i w Poznaniu wymowne mogą złożyć świadectwo, — to daleko gorzej jest z przeciwległym objawem społecznym, z *niedocenianiem* ludzi.

Objaw to tak pospolity, niestety, że trudno nam się nawet szeroko o nim rozwodzić.

Niedocenianie ludzi, brak sprawiedliwej oceny ich wartości moralnej i wartości ich pracy, — to też czynnik niesłychanie destruktywnie oddziaływujący na stosunki społeczne.

Każdy człowiek, choćby niewiem z jak idealnych pobudek pracował, żąda i ma prawo żądać jednej rzeczy: *uznania swych zasług*. Jeśli to go mija, jeśli zamiast uznania spotyka go ironiczny uśmiech politowania, wtedy krew się w nim burzy, odczuwa on niesprawiedliwość ludzką i powoli traci wiarę w celowość swej pracy, bo widzi, że nie pojedyńczy już człowiek (któremu łatwiej niesprawiedliwość ludzką wybaczyć można) ale że społeczeństwo, ów człowiek zbiorowy, z tysiącem ócz i tysiącem mózgów, niepotrafi należycie go ocenić i pracy jego swem uznaniem wynagrodzić. I nic dziwnego, że wśród takich warunków opuszcza go chęć do pracy, bo przecież najpierwszym, najnieodzowniejszym warunkiem zapału, który jest początkiem każdej pracy, — jest wiara, że prędzej, czy później społeczeństwo zasługę należycie oceni i wynagrodzi.

Niedocenianie człowieka prowadzi do tego, że najlepsi, najpracowitsi ludzie w swej działalności społecznej niszczeją, zacieśniają ją do coraz to mniejszego kółka, aby wreszcie machnąć ręką na niewdzięczność ludzką i powiedzieć: dla was pracować nie warto. I jeśli owego człowieka, z którego niezasłużonemi pochwałami i wynoszeniem pod niebiosa zrobiło społeczeństwo napuszonego dudka, można ostatecznie sprowadzić do właściwego poziomu i uleczyć ostrą i sprawiedliwą krytyką, to — niestety — niczem już uleczyć nie można człowieka zgorzkniałego wobec braku uznania jego zasług — bo taki człowiek na wszelką perswazyę ci powie: uznanie moich zasług — to dla mnie takie samo wynagrodzenie, jak dla oficyalisty miesięczna zasługa. Zapracowałem na nie tak samo, jak i on: a jakiż to oficyalista nie podziękuje za służbę, gdy mu jego należytej pensyi nie zapłacą?

I człowiek ten będzie miał racyą gdy tak powie: bo uchybianie czyimkolwiek zasługom jest taką samą nieuczciwością społeczną, jak zatrzymanie zapłaty najemnikom, z tą tylko różnicą, że gdy ostatnie podlega przepisom kodeksu, pierwsze uchodzi nawet za modny sport.

Zasadnicze te rozważania nasuwają mi się mimowoli pod pióro, gdy chcę kilka uwag skreślić na temat *hecy teatralnej*, która podczas letnich upałów ciągnie się po szpaltach naszych pism, jak ów przysłowiowy wąż morski.

Zarówno jako obywatel, którego boli każda społeczna niesprawiedliwość, jak niemniej i jako reprezentant opinii publicznej, której się niepoślednią czuję cząstką z chwilą gdy piszę dla *„Pracy,“* uważam, że zarzutami, których szereg skierowano niedawno przeciw dyrektorowi teatru poznańskiego, p. Rygerowi, dowiodło społeczeństwo nasze znowu *braku miary w sprawiedliwem ocenianiu ludzi.*

Pana Rygera, jako kierownika instytucyi, którą przejął w stanie zupełnego rozprzężenia, stanowczo nieoceniono, jak na to zasługuje, jeśli wogóle znalazły się głosy, które poruszyły kwestyę w formie takiej jak gdyby na panu Rygerze Poznań się rozczarował.

Dla każdego artysty uznanie jest najnieodzowniejszą cząstką wynagrodzenia za pracę i trudy; a kto niesłusznie tego uznania odmawia, ten odmawia w ciężkim trudzie i pocie zapracowanego wynagrodzenia. Nie samym chlebem żyje człowiek — a wy, zamiast do tego chleba dodać ową idealną cząsteczkę, owo uznanie, dodajecie goryczy?

Gdy przed laty przyjechał dyrektor Ryger, aby objąć teatr poznański wiedział, w jak trudnych go obejmuje warunkach. Trupa zdezorganizowana, brak dekoracyi, publiczność, przeświadczona o niedołęztwie dotychczasowego kierownictwa, jaknajgorzej usposobiona.

„Ja tę scenę podniosę“, powiedział sobie obecny dyrektor — „ja do niej ściągnę publiczność, pokażę jej, że i w naszym teatrze może się zapoznać z dziełami dramatycznemi zarówno zagranicy jak i naszych współczesnych pisarzów, ja przyciągnę sfery ludowe i mieszczańskie.“

Czy nie dotrzymał słowa?

Nie chcę wymieniać i przypominać nazwisk artystów, którzy grali w ostatnich czasach przed objęciem dyrekcyi teatru przez Rygera. Ale z pamięci nie mogę wymazać wspomnień tych widowisk, które widziałem na ówczesnej scenie poznańskiej, a zaręczam śmiało, że najlepiej grał wówczas — sufler, bo ten przynajmniej miał tekst sztuki z pierwszej ręki, a artyści mieli drugi — bo od suflera.

Galerye świeciły pustkami. Żadnych współczesnych sztuk nie można było odegrać należycie, bo albo nie było dosyć sił artystycznych, albo też właśnie podczas przedstawienia (np. Halki) artyści nie mieli dosyć siły i równowagi — umysłu, aby ukazać się na scenie.

W loży komisyi teatralnej raz po raz pojawiał się ktoś, ale z tak markotną miną, jakby właśnie obliczał odsetki od — nieistniejącego kapitału żelaznego.

A dziś?

Uczęszczam umyślnie na niedzielne, zwłaszcza popołudniowe przedstawienia, aby się nacieszyć widokiem przepełnionego teatru. Kto ściągnął do teatru te tłumy, w obecności których ma się wrażenie, że teatr nasz jest zamały?

Czy to nie Ryger?

A jeśli ta jego zasługa nie ulega kwestyi, to dlaczegoż odmawiać lub kwestyonować mu to uznanie, które mu się tak słusznie należy?

Szanowny nasz dyrektor Więckowski był na zebraniu spółki akcyjnej tym generalnym mówcą *contra.* Pozwoli pan dyrektor, że uznając najzupełniej jego autorytet w sprawach finansowych, oceniając jego takt i rozum polityczny na zaszczytnem stanowisku prezesa komitetu wyborczego, wysoko stawiając jego zasługi jako obywatela miasta i kraju, który ma zawsze myśl szeroką i nieciasne poglądy, nie możemy wcale uznać jego powagi w sprawach dotyczących artystycznej strony przedsiębiorstwa teatralnego. Ze źródła informacyi, zwłaszcza tego, z którego korzystał szan. mówca, aby krytykować artystyczną stronę, nie daj Boże, aby mieli kiedy-

kolwiek nasi artyści czerpać natchnienie artystyczne!

Nie trzeba wszakże przeczyć, że *jeśli w szeregu lat* zyski p. Rygera okażą się istotnie coraz wyższe, to odpowiednio do tego będzie można wprowadzić pewne modyfikacye w kontrakcie, nie tego rodzaju, aby uszczuplać p. Rygerowi subwencyi, lecz aby go zobowiązać np. do odbywania stałych wycieczek z teatrem po całej prowincyi.

Wreszcie jedno słówko jeszcze. Zamiast nadmiernie krytykować p. Rygera zdałoby się więcej uwagi zwrócić na niedbałą gospodarkę z gmachem frontowym teatru, z hotelem Victoria etc., bo inaczej wywołuje się wrażenie, że *teatr ma ze swych dochodów pokrywać niedobory gospodarki gmachu frontowego*, a przecież powinno być odwrotnie.

Żegota.

Naród-sobie.

„Naród-sobie“ — takie godło widnieje na gmachu naszego teatru w Poznaniu. W tych słowach jest pewna myśl, trochę odmienna od tej, którą zawierają napisy na innych teatrach (np. we Lwowie, w Krakowie), które opiewają, że nie *sobie*, lecz *narodowej sztuce* poświęca naród ten budynek.

Ta drobna napozór różnica kryje w sobie naprawdę bardzo znamienny rys: w niej bowiem odzwierciadlają się poniekąd nasze stosunki w zaborze pruskim, a w Galicyi. W Poznaniu stawia naród teatr *sobie*, dla swej potrzeby, dla swego użytku, — we Lwowie i w Krakowie stawia go *sztuce*.

Gdzie jest ta różnica?

Tam może się teatr abstrahować poniekąd od codziennego życia, może poświęcić się sztuce, jako takiej, u nas zaś, w Poznańskiem, naród odprządz musi teatr do pewnego stopnia od wózka Melpomeny, a zaprządz go do swego woza, który się z trudem posuwa po grudzie, zwalczając wciąż przeszkody stawiane przez hakatyzm i wycieńczenie ekonomiczne.

„Naród-sztuce“ — znaczy to, że gdy wejdziesz do teatru, masz prawo wymagać, aby twe poczucie piękna było zaspokojone, abyś się napił do syta z krynicy wrażeń artystycznych. To jest pierwsze, wszystko inne na dalszym stoi planie. Masz prawo żądać wspaniałej wystawy, dobrego ensemblu, wytwornej i skończonej gry artystów, masz prawo żądać uwzględnienia modernistycznego kierunku twórczości dramatycznej...

Tam zaś gdzie napis brzmi *„Naród-sobie“*, tam nie żądaj wybrednej artystycznej strawy, jaką ci może i powinien dostarczyć wydelikacony poziom sceny wielkomiejskiej. Bo to jest scena, której zadaniem jest przedewszystkiem służenie samemu narodowi.

Kto jest u nas narodem?

Czy to te nieliczne w Poznaniu rodziny, które w rzadkich zresztą okolicznościach potrafią zapełnić kilka pierwszych rzędów krzeseł i kilkanaście lóż (licząc w to i gratisowe bilety)? — Wcale nie. To nie jest ten „naród“, dla którego istnieje scena polska w Poznaniu. Zupełnie błędną by drogą poszła scena poznańska, gdyby chciała wysługiwać się artystycznym upodobaniom tych nielicznych rodzin „lepszej sfery“, z których każda ma w swem gronie tradycyę, że jeden z jej członków był w Berlinie w „Wintergartenie“ lub w Wiedniu u „Ronachera“ i z tego powodu wszyscy jej członkowie czują się uprawnieni do krytykowania i twierdzenia z poważną miną, że w Berlinie lub w Wiedniu „grają znacznie lepiej.“

To nie dla tych wybrednych i wydelikaconych artystycznie ludzi wybudowano teatr poznański.

Widnieje na nim napis: *„Naród-sobie.“* Narodem w prawdziwem tego słowa znaczeniu, rdzeniem, ośrodkiem narodu jest dziś lud, są warstwy mieszczańskie i ludowe. Dla nich to jest teatr poznański. Kto te warstwy wprowadził do teatru, kto teatr niemi potrafił zapełniać od góry do dołu, jak to zrobił dyrektor Ryger w ciągu kilku lat swej działalności, ten, zdaniem mojem, najzupełniej i należycie spełnił swe zadanie i odgadł znaczenie słów stanowiących napis na gmachu teatru.

W ocenie działalności dyrektora Rygera innemi wskazówkami kierować się nie można. Z zaznaczonego zaś powyżej stanowiska nie można mu odmówić dużych zasług, a to tem większych, im większe finansowe rezultaty zdołał on osięgnąć, dodatnich bowiem finansowych wyników nie oparł on na czem innem jak właśnie na tej szerokiej masie tanio płacących widzów.

Na inteligencyą u nas liczyć żal się Boże! Nie do poziomu wymagań wyższej inteligencyi podnosić, lecz raczej do poziomu sfer ludowo-mieszczańskich zniżać należałoby nasz teatr.

Krytycy działalności p. Rygera robią mu zarzut, że niedość uwzględnia artystyczną stronę sceny, że nie stara się o dobrych artystów.

Niewiem, jakie szczegółowe zarzuty kryją się pod tem ogólnikowem potępieniem dyrekcyi p. Rygera, ale jeśli wolno mi się powołać na te osobiste wrażenia, jakie, pilnie uczęszczając do teatru swego czasu odniosłem, to muszę otwarcie wyznać, że i co do doboru sił i co do składu personału można się tylko z uznaniem wyrazić o działalności p. Rygera.

Co do artystów, to jako nowe nabytki wystarczy wymienić pp. Bednarczyka Adwentowicza, Wysockiego i panie Wysocką, Święcką, aby dowieść, że dyrekcya stara się o dobry komplet. Pierwszego kochanka niema scena polska poznańska, ale czy go ma która polska, o ile abstrahujemy od podtatusiałego pana Wolskiego w warszawskich „Rozmaitościach“ i sztywnego p. Tarasiewicza w teatrze krakowskim?

Co do wystawy sztuk, to niewiem doprawdy, jaki zarzut możnaby zrobić p. Rygerowi w wystawieniu np. „Dzwonu zatopionego“, „Romantycznych“, „Karykatur.“

Nie mogę wspominać o rzeczach z ubiegłego zimowego sezonu, których nie widziałem. Ale na życzenie i z upoważnieniem Jana Kasprowicza podnoszę tu, że wystawienie „Buntu Napierskiego“ w Poznaniu najzupełniej go zadowoliło i bezporównania lepiej wypadło niż w Krakowie (nie mówiąc już o Lwowie).

Pozatem podniesiono jeszcze jedną kwestyę: oto finansowe powodzenie naszego teatru dało asumpt do dziwacznego projektu, aby Spółka objęła we własny zarząd przedsiębiorstwo teatralne, ponieważ nawet nie dyskutowano nad tem dłużej, więc nie ma potrzeby pogrzebowych tonów wyśpiewywać temu pogrzebanemu już przed urodzeniem projektowi.

Ale wszakże jedno w tem robi bardzo brzydkie wrażenie, zwłaszcza z oddali: Że zamiast się cieszyć z materyalnego powodzenia sceny, która przez lat tyle była prawdziwą bolączką Poznania, w głowach obywateli poznańskich rodzi się projekt zagarnięcia tych zysków. A czy się kto pyta, ile w pierwszych latach po objęciu dyrekcyi dyrektor Ryger dopłacił? Czy kto pyta, jak to on jechał do Warszawy, aby się ratować gościnnymi występami?

Zanim by Poznań miał nabrać zaufania do ewentualnych rządów spółkowych (któreby miały niewątpliwie tę samą cechę protekcyjności, jaką miały czasy przed Rygerem) musiałby się chyba odnaleźć fundusz żelazny; a dopóki to nie nastąpi, życzymy p. Rygerowi, aby tylko bardziej nawet niż dotąd sprowadzał publiczność polską z przedmieść, aby zapełniał się teatr od galeryi aż do samego dołu, a w pracy pod tak pojętem hasłem *„Naród-sobie“* szukał uspokojenia po niesłusznych zarzutach, a znajdzie je z pewnością.

Kazimierz Radwan.

„Kuryerowi Poznańskiemu“

w uprzejmej odpowiedzi, że wcale niepotrzebnie silił się na skrytykowanie, ba nawet na potępienie głęboko pomyślanego artykułu Vestera p. tyt. „Polska dla Polaków“, zamieszczonego w 28-ym numerze „Pracy“.

Zapewne całe Duchowieństwo nasze podziela zapatrywania Vestera, mianowicie dotyczące wyzyskiwania naszego ludu przez różne zagraniczne stowarzyszenia, w tych samych czasach, w których u nas niejeden ubogi kościołek niemal bez dachu.

Nie odmówi też pewnie nikt rozsądkiem zdrowym się kierujący, słuszności twierdzeniu Vestera, że kapłan w swej własnej parafi tak samo działać może zbawiennie i zasłużyć się przed Bogiem, jak misyonarz w dalekiej Afryce!

A czyż Duchowieństwo polskie może niema zasług takich, iżby się nie mogło mierzyć z każdym misyonarzem?

Nikt zresztą nie lekceważył poświęcenia misyonarzy naszych, twierdzimy tylko to samo, co wypowiedział „Vester“, że i tu, na naszej miejscami jeszcze ugorem leżącej, zbiedzonej polskiej niwie duchowny świecki ma niemniej wdzięczne pole pracy, jak w dalekich afrykańskich krańcach.

Zapytujemy nadto każdego, czy nie musi się zgodzić w zupełności na zdanie Vestera, że im więcej pozostanie w kraju ludzi światłych i zdolnych do poświęceń — tem lepiej dla nas, tem lepiej dla narodu!

My nie mamy na to, by rozdrabniać siły społeczne, systematycznie wycieńczone!

Dlatego też poczytujemy za obowiązek każdego dobrze myślącego Polaka skupiać siły, ześrodkowywać je w kraju, bo to nasz dobytek, nasze bogactwo, bo to naszej przyszłości nieodzowny warunek!

Chcąc zaś dowieść, ile słuszności leży w wywodach Vestera o wyzysku naszego ludu, przez różne zagraniczne stowarzyszenia, wystarczy n. p. przeczytać styczniowy numer „Wiadomości Salezyańskich“, wychodzących w Turynie, we Włoszech, zawierający między innemi sprawozdanie z działalności OO. Salezyanów za rok ubiegły.

Czytamy w niem o całym szeregu pobożnych i pożytecznych zakładów, jakie powstały ze składek t. zw. pomocników i pomocnic za inicyatywą tychże ojców włoskich; wymieniono tam świeżo wzniesione kościoły i kaplice w wielu krajach, a mianowicie w Niemczech, we Włoszech, w Anglii, Francyi, Ameryce, Afryce, Brazylii itd. itd. lecz niema tam wymienionej — *ani jednej, choćby najskromniejszej kapliczki w Polsce,* w tej biednej, mordem i pożogą wyniszczonej Polsce, z której jednakowoż, jak też same „Wiadomości Salezyańskie“ podają — tysiące płyną pod postacią składek na cele OO. Salezyanów.

Ten biedny a kościołowi swemu tak niezmiernie wierny, zacny lud nasz, odmawia sobie od ust, a posyła datki OO. Salezyanom, którzy za to pobudują wspaniały gmach we Francyi, w Angli, a więc wszędzie, — *tylko nie w Polsce!*

Czy to nie oczywisty wyzysk naszego ludu, czyśmy to tak zamożni, izbyśmy nie potrzebowali się troszczyć, ażeby nasz grosz na nasze przedewszystkiem płynął cele? Czyż to u nas wszystkie kościoły już tak bogato uposażone, iż bez ofiar naszych zupełnie się obyć mogą?

Ale powróćmy do sprawozdania OO. Salezyanów. Oto dosłowne brzmienie tegoż:

„Dalszym znowu Waszego, o czcigodni Pomocnicy i Pomocnice salezyańskie, miłosierdzia chrześcijańskiego plonem, są nowe zakłady, jakie w roku ubiegłym w różnych krajach mogliśmy na większy pożytek młodzieży założyć. I tak: we Włoszech założyliśmy kaplice świąteczne w Carmagnola (w Piemoncie), we Ferrara, w Comacchio, w Chiogga (podle Wenecyi), w Figline (w Toskanie) i w Forli, gdzie razem z kaplicą świeteczną podjęliśmy się również kierownictwa szkoły rzemieślniczej. W Pallanzano (w dyecezyi parmeńskiej) powstała również kaplica świąteczna, taksamo w Medyolanie, a w Fossano (w Piemoncie) objęliśmy kierunek nad tutejszym konwiktem miejskim. W Rzymie w dzielnicy Testaccio założyliśmy prywatną szkołę elementarną, w Spezii posunęliśmy naprzód budowę kościoła N. M. Panny Śnieżnej, a w Savonie odbyła się uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod nowe Oratoryum salezyańskie. Taka sama uroczystość odbyła się w Ankonie, gdzie stanie niebawem wielki zakład wychowawczy salezyański z kościołem. Dalej w Mordreux (w Francyi) stanęło seminaryum duchowne, a w Verviers (w Belgii, piękne Oratoryum wraz z ochronką dla biednych dzieci; w Briga (w Szwajcaryi) powstała misya salezyańska dla robotników przybywających tutaj na robotę z Włoch, w Sewilli (w Hiszpanii) otwarty został trzeci z rzędu dom salezyański z kościołem publicznym, kaplicą świąteczną i szkołami dziennemi i wieczornemi; w Vigo (w Hiszpanii) założona kaplica świąteczna i we Villa San Miguel koło Madrytu dom salezyański. Oprócz tego kierujemy kaplicą świąteczną i ochronką pod wezwaniem św. Franciszka Salezego na wyspie Minorce. Portugalia była świadkiem otwarcia przez Salezyanów kaplicy świątecznej w O' Pinheiro (podle Lizbony) a oprócz tego posiadamy już obszerny plac pod budowę schroniska dla sierot, szkół i warsztatów rzemieślniczych w samejże Lizbonie. W Anglii mamy pieczę nad jednem z tamtejszych więzień, jak również opiekujemy się szpitalem i przytułkiem dla sierot. Na misyach: W Afryce powiększyliśmy nasze misye o nowy jeden zakład w La Marsa (w Tunisie, misyom zaś naszym w Palestynie dostarczyliśmy środków na pomieszczenie i utrzymanie młodzieży opuszczonej. W Buenos Ayres (w Ameryce połudn,) otworzyliśmy jeszcze jedno kolegium włosko-argentyńskie obok kościoła M. Boskiej Miłosierdzia. W Uruguayu (w pobliżu miasta Montevideo) założyliśmy osadę rolniczą. Brazylia miała w zeszłym roku to szczęście otrzymać zakład salezyański w Bahii, a stan Matto Grosso, który kilku naszych misyonarzy stale przebiega we wszystkich kierunkach, wzbogacił się nowym zakładem składającym się ze szkoły elementarnej i średniej w Corumbė. W stolicy Rzptej. Kolumbii, Santa Fé de Bogatė wznieśliśmy czwarty już z rzędu zakład pod wezwaniem św. Wincentego, inny zaś buduje się w poblizkiem mieście Bosa, a ma na celu kształcenie nauczycieli dla szkół i majstrów dla rzemiosł. W Arequipa, w Rzptej. Peru pracuje się gorączkowo nad budową nowego kościoła pod wezwaniem N. M. Panny Wspomożenia Wiernych, który stanie jeszcze w bieżącym roku obok zakładu salezyańskiego itd.“

Ze względu na szczupłość miejsca w naszem pismie zmuszeni jesteśmy przerwać w połowie wyliczania różnych zakładów dobroczynnych, jakie w ubiegłem roku za staraniem OO. Salezyanów ze składek przezacnych Zelatorów i Zelatorek powstały, a których po doliczeniu zakładów stworzonych przez żeński oddział salezyański, tak zwane Siostry

Wspomożycielki, zostało jeszcze z górą trzydzieści.

Zdawszy więc sprawę ze swej zeszłorocznej działalności wzywają na nowo OO. Salezyanie przezacnych polskich Pomocników i Pomocnice do składania ofiar dla uczczenia pamięci zmarłego Ojca ks. Bosko, już to w gotówce na budowę kościoła fundowanego obecnie w Valsalice na jego pamiątkę, już też przez zakupienie i ofiarowanie niektórych sprzętów kościelnych...

Dalej proszą oni jeszcze o składki na utrzymanie istniejących już zakładów salezyańskich, na utrzymanie swoich kleryków, na Indyan w Ziemi Ognistej i Patagonii, na stacye misyjne na przesmyku panamskim, na uroczystość jubileuszową z okazyi 25-letniej rocznicy pierwszej wysyłki misyonarzy do Ameryki, słowem na wszystko, na co tylko ci czcigodni Ojcowie potrzebują...

Z powyższego sprawozdania widzimy jasno całą działalność sz. Ojców Salezyanów, jaką rozwijają wśród różnych narodów po wszystkich krajach, lecz cóż ci szan. Ojcowie dotychczas uczynili dla tego biednego polskiego ludu, z którego już przez szereg lat tyle ofiar wycisnęli? Czyż widnieje w całem a tak obszernem, szczegółowem sprawozdaniu choćby jedno najmniejsze dzieło dokonane przez tych sz. Ojców dla naszego nieszczęśliwego narodu? Nazwy miejscowości polskich i osób tylko w wykazie złożonych ofiar znaleść tam można, ale wszelkie dobrodziejstwa za te ofiary dostają się w udziale wszystkim narodowościom, *byle nie Polakom*.

Przypatrzmy się zatem nieco bliżej działalności tych szanownych Ojców ze stanowiska naszego polskiego i osądźmy, czy postępowanie ich z ludem polskim jest takie, na jakie sobie tenże swemi ofiarami zasłużył. Jak widzimy w każdym numerze Wiadomości Salezyańskich, kwoty wpływające od Polaków są znaczne, ale jak to wyżej wspomnieliśmy, korzystają z nich wszyscy *z wyjątkiem Polaków, których całą nagrodą są obiecanki całego, połowy lub czwartej części odpustu stosownie do nadesłanych pieniędzy*. Zgromadzenie OO. Salezyanów ściąga do swego konwentu młodzież z całej Polski i za opłatą 200 złr. rocznie od każdego młodzieńca zajmuje się jego wykształceniem.

Atoli całe to wykształcenie tych przyszłych misyonarzy zasadza się w pierwszym rzędzie na zupełnem wynarodowieniu ich i stworzeniu z nich narzędzia do służenia obcym, nieraz wrogim nam żywiołom pod pozorem miłości bliźniego i litości chrześciańskiej. Tacy włoscy księża pochodzenia polskiego wysyłani są potem w dalekie światy, lecz nigdy nie wolno im zabłądzić między dawnych ziomków swoich, którzy rozrzuceni po różnych zakątkach ziemi, więcej może potrzebują pomocy i opieki duchowej, niż Indyanie w Ziemi Ognistej lub lasach amazońskich. — Weźmy przykład z Ameryki południowej. Istnieje tam pełno zakładów salezyańskich pracujących rzeczywiście gorliwie dla dobra ludzkości, ale ludność polska, którą tamtejsze władze kościelne otwarcie nazywają podporą religii katolickiej, pozbawiona jest zupełnie opieki duchowej. Kolonie polskie na próżno zanoszą prośby do biskupów o przysłanie im księży polskich, na próżno składają z góry fundusze na sprowadzenie z kraju polskich kapłanów; dla Polaków nie potrzeba polskich duszpasterzy, bo Polacy i tak pozostaną gorliwymi katolikami, a zresztą jestto naród tak potulny i ciemny, że nie ma potrzeby liczenia się z nim. Takie zdanie panuje o nas w miarodajnych kołach, a obce narodowości korzystają z instytucyi humanitarnych i religijnych stworzonych za wyłudzony grosz od polskiego ludu. Cała działalność OO. Salezyanów dla ludu polskiego zaczyna się i kończy na regularnem nawoływaniu go do składania ofiar i zjednywaniu coraz szerszego koła t. z. pomocników i pomocnic, zelatorów i zelatorek. Czemuż ci sz. Ojcowie nie poszlą do Brazylii kilku kapłanów polskich ze swojego konwentu? Czemuż nie założą oni tamże za polskie ofiary choćby jednej kaplicy, jednego szpitala, ochronki, lub szkoły dla dzieci? Polacy w Brazylii tego przecież tak bardzo potrzebują, gdyż ważniejszą rzeczą chyba jest podnieść i podtrzymywać upadającą religię u narodu, który wieki całe był jej przedmurzem, niż zajmować się dzikimi Indyanami, których dni i tak są już policzone. O ile wiemy Najprz. Arcybiskup lwowski robił już przedstawienia w tej sprawie OO. Salezyanom, ale wszystko skończyło się, jak zwykle u nich, na obiecankach. Wysłano raz nawet dwóch czy trzech księży narodowości polskiej dla Polaków w Brazylii, ale ci zatrzymawszy się jakiś czas w Rio de Janeiro wrócili napowrót do Turynu, bo prawdopodobnie pilniej im było gdzieś z pomocą dla Włochów, Francuzów, Hiszpanów lub trędowatych Indyan, niż nieść słowo miłości bliźniego tam, gdzie tego najwięcej potrzeba, pomiędzy nasz lud tułaczy, zkąd stale i obficie ofiary pieniężne OO. Salezyanom napływają. — Postępowanie takie nazywamy otwarcie niechrześciańskiem i piętnujemy je jako wyzysk biednego ludu naszego, którego głębokiej wiary i przywiązania do religii katolickiej nadużywają OO. Salezyanie do celów przynoszących korzyść nieomal całemu światu — *tylko nie Polsce!*

Rodacy! nie dajcie się bałamucić ludziom, którzy mają was tylko za narzędzie dla swoich celów i korzyści; nie żałujcie grosza na cele religijne, ale stańcie się pomocnikami i pomocnicami waszych własnych kapłanów i waszych własnych kościołów. Wasz krwawo zapracowany grosz oddajcie na chwałę Boga, ale starajcie się, aby korzyść duchowa stała się waszym udziałem, a nie udziałem obcych narodów, które materyalnie bogatszymi są od was i same sobie radzić potrafią. Budujcie sobie kościoły, kapliczki, ochronki dla dzieci, dbajcie o własnych kapłanów, gdyż dopóki tych nam starczy, dopóty i narodowość nasza nie zaniknie, ale nie dajcie się bałamucić pięknemi słowami ludziom, którzy tylko wyzyskać was się starają i którzy z świętych obrzędów religijnych formalny handel sobie urządzili. Nie wierzcie im, że msza święta w Turynie za jednego franka, msza za pół franka lub sześć mszy jako komisowe za zebranie dwunastu nowych pomocników większe mają znaczenie, jak msza święta odprawiona przez waszego kapłana w waszym biednym kościołku.

Tyle „Kuryerowi Poznańskiemu“ na razie w odpowiedzi na zaczepkę Vestera za artykuł „Polska dla Polaków.

Nakoniec jeszcze jedna uwaga:

„Kuryera Poznańskiego“ — jak pisze sam dosłownie — od dawna już raziły szowinizmem pachnące uwagi niektórych pseudonimów“ zamieszczane w łamach „Pracy.“

Wolno każdemu, kto chce przekładać ponad szczery wyraz narodowych pragnień niejedno, co trąci byzantynizmem lub niewolniczem przed potęgami poniżeniem. Wiemy też, że w niektórych pismach polskich niedawno jeszcze spotykać się było można z serwilizmem, na który rumieńcem wstydu oblewało się oblicze prawdziwego, szczerego

duszą i sercem Polaka. Ale chyba lepiej po chrześcijańsku głosić prawdę uczuć i przekonań polskich, niźli nie po chrześcijańsku ich się zapierać przed wrażą potęgą, niźli kłamać i udawać, że naród polski kwituje z swych dziejowych praw, podczas gdy nigdy z nich kwitować nie może, dopóki jest sobą!

Niech sobie ten i ów fantasta popiera nawet pachnące geszeftem, bezbarwne pisma niemieckie, niech urządza propagandę ku zasilaniu ich funduszami, niech bałamuci siebie i innych jak chce — my pozostaniemy przy tym sztandarze, na którym wypisano hasła wiary, prawdy i niekłamanej miłości ojczyzny!

„Praca.“

Między młotem a kowadłem.

(Ciąg dalszy.)

Rosya, o ile istotnie posiada w sobie żywioły słowiańskie, i kradzionem imieniem odziana, radaby słowiańską, ale na swój sposób pojętą ideę, przedstawiać, popełniła wprost zbrodnię, pozwalając przez rozbiór Polski, na oddanie w ręce niemieckie kawała słowiańskiej ziemi, a z nią gromady rdzennie słowiańskiego i najbardziej cywilizowanego ludu. Już to samo wystarcza, aby Katarzynie zaprzeczyć nadawanego jej jure caduco tytułu „wielkiej“. Jest ona wprawdzie wielką, ale w innem znaczeniu. Co zaś do polityki względem Polski zastosowanej, popełniła błąd nie do darowania; zwłaszcza że bez żadnych wspólników zbrodni, mogła być sama niepodzielną panią całej rzeczypospolitej, a to przez wpływ nieograniczony, jaki na nią wywierała już na długo przed rozbiorem, Zapomniała, że to stare przedmurze zasłaniające słowiańszczyznę wobec teutońskiej zachłanności mogłoby się jeszcze na coś przydać, bo ta zachłanność nietylko że nie osłabła, lecz przeciwnie, dziś z większą się jeszcze brutalnością i bezwzględnością objawia.

Z drugiej znów strony niemniej i Europa może srodze kiedyś za swą winę odpokutować, bo przez rozbiór Polski odsłoniła swe piersi wobec zagrażającego jej wschodu; i dziś od stóp do głów uzbrojona, musi wciąż czuwać z ręką na kurku. Chciwość mści się srodze pod względem ekonomicznym i moralnym, a może się jeszcze sroższej zemścić kiedyś.

Niektórzy krytycy zarażeni dzisiejszą zasadą „siła przed prawem“ z tego stanowiska patrząc, zarzucają Polakom, że umieli tylko zwyciężać, ale nie byli zdolni ze zwycięztwa korzystać. To błąd. Polacy umieli, lecz nie chcieli, bo drapieżność nie leży w ich charakterze. Nigdy nie byli narodem zaborczym. Bronili tylko własnych siedzib, niepożądając cudzego. Nad pokonanym więc nie mścili się, nie ścigali go, nie wyzyskiwali jego nieszczęścia. Było to może ze szkodą ich własnych interesów, ale zgodne z wielką ideą ludzkości, która zawsze była podstawą ich obyczajów i dążności, ich organizacyi społecznej i polityki.

Dziś ludy przez Bismarków zahypnotyzowane, nic zgoła już po za własnym interesem niewidząc, niezdolne ocenić takiej polityki serca i sprawiedliwości. Teorya walki o byt, przeniesiona ze świata zwierzęcego do spraw ludzkich, coraz bardziej zagładza różnice i zrywa solidarność ludów. Wolność tylko dla siebie, braterstwo to idea zapomniana, wyraz ten, to już tylko piękne wspomnienie historyczne z epoki, w której duch ludzki na chwilę ze snu barbarzyństwa przebudzony, wypisał go na swym sztandarze. — Dziś nikt o nim nie myśli lub wyśmiewa jako mrzonkę.

Zapomniana to już chwila, kiedy wzajemny uścisk jak braci łączył Niemców z Polakami, kiedy Niemcy kwiatami i hymnem wolności gościnnie spotykali tułaczów polskich lub własną ręką otwierali wrota więzienia męczenników, a nawet swym królom kazali się kłaniać przed nimi, jako przedstawicielami idei wolności, wolności nietylko ich własnej, ale powszechnej. Polacy przecie na swym sztandarze wypisali „Za naszą i waszą wolność“. A czynem po tysiąc razy stwierdzili, że to nie czcze słowa, bo tkwiły w głębi ich serc. Polacy do dziś jeszcze napisu tego nie starli, nie wyrzucili go z duszy — zawsze ci sami, ale jakżeż różni dawni ich przyjaciele i bracia, ci, którzy jeszcze wczoraj słuszność ich praw przyznawali? Dziś ich synowie i wnuki w hakatystyczne odziani łachmany, pierwsi te same prawa depcą i wydzierają. a urągają słabszym! słabszym fizycznie, ale nie duchowo, bo owszem, duchowo stoimy wyżej od prześladowców. I to ich właśnie tak gniewa i jeszcze bardziej jątrzy, że ich pięść niezdolna zgnieść tego ducha, kruszy się za każdem uderzeniem.

Warto naszym hakatystom przypomnieć święte słowa hr. Józefa de Maistre. Otóż ten stanowczy zwolennik monarchicznego absolutyzmu powiedział (Du Pape I. 303), że „największem dla człowieka nieszczęściem, gdy musi obcemu ulegać państwu. Nie ma takiego upokorzenia ani boleści, któraby mogła iść z tem w porównanie. Naród w tem położeniu będący, sądzi, że nie monarsze, lecz drugiemu narodowi ulega; a żaden naród nie chce ulegać drugiemu, bo żaden nie umie drugiemu rozkazywać. Nawet najmądrzejsze, nawet i te, które się najlepiej rządzą, mądrość swą tracą, gdy im przychodzi drugim rządzić narodem. Jeżeli bowiem wrodzoną jest człowiekowi żądza panowania, niemniej skłonny on zawsze dać uczuć to swoje panowanie. Zamiast badać ducha podbitego narodu, i stósownie do jego natury rządzić, on mu się sprzeciwia i sądzi, że im surowszy, tembardziej panuje. Odrażającą pychę bierze za godność i zdaje mu się, że oburzenie, jakie przez to wywołuje, jest wymowniejszym dowodem jego siły niż błogosławieństwo, jakieby mógł sobie szlachetniejszem postępowaniem zaskarbić.“

Ale darmoby powtarzać takie słowa i do upamiętania nawoływać hakatystycznych szaleńców. Głos rozsądku zawsze się jak groch odbije od ścian ich twierdzy szowinizmu. Fałszywie pojęta teorya o „nadczłowieku“ zanadto już pozawracała ludziom głowy. Zdaje im się, że mając siłę w ręku, mogą wszystko robić bezkarnie, bo wszystko im wolno.

Dziwne to czasem, doprawdy, zachodzą sprzeczności w pojęciach ludzkich. Zdawałoby się, że zasady etyki powinny być zawsze jednakie i równo obowiązywać jednostki jak i całe państwa, boć państwo jest sumą jednostek, a więc całość powinna posiadać te same przymioty, jakie jej cząstki z osobna posiadają.

A tymczasem jakżeż często widzimy wprost przeciwne objawy. Intryga, kradzież, podstęp, przemoc, gwałt i wogóle wszelka krzywda w życiu jednostek, karane są przez kodeks; ale tym, którzy te kodeksy piszą, bezkarnie uchodzą ta-

kie zbrodnie w stosunkach międzynarodowych, jeżeli tylko są silniejsi. Bo państwo, jego zwierzchnik, to ma być ów nadczłowiek, wyższy po nad innych.

Niech zwyczajny oficer np. złamie dane słowo, to go z pułku wypędzają jako niehonorowego; ale gdy rząd podbitemu narodowi słowa nie dotrzyma, to się nazywa wyższą racyą stanu, która wcale honoru nie plami, bo rząd to także nadczłowiek, który za nic nie potrzebuje się rumienić, bo co rząd lub monarcha, to nie zwyczajny oficer, którego wolno z pułku wypędzić.

Ale zresztą co tu o tem mówić. Ludzkim językiem nigdy się nie porozumiemy z takim przeciwnikiem. My będziemy się zasłaniać uroczystemi królów poręczeniami, a oni tymczasem w hakatystycznej kuźni będą przeciw nam kuć wyjątkowe prawa. Ale może sroga Nemezis to sprawi, że kiedyś ich własne strzały, jak podanie o Grekach niesie, przeciw nim samym się zwrócą. A to bardzo prawdopodobne. Sami niebaczni kiedyś przyłożyli rękę do zniszczenia polskiego wału, który Europę zasłaniał od wschodu, a dziś, zaślepieni, kiedy ten wschód im zagraża, sami nas pchają w objęcia Rosyi, i każą za przykładem Czechów, u niej nadziei szukać.

Jesteśmy więc postawieni między młotem a kowadłem. Może niezadługo przyjdzie nam wybierać z dwojga złego — mniejsze. A które mniejsze hakatyści sami nas pouczają.

Co wart, czem jest ów młot, dobrze już, niestety, wiemy; warto jednak bliżej poznać i kowadło, które może nam niezadługo przyjdzie wybrać. *C. D.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Chiny otwierają się...

IV.

(Koleje w Chinach. — Początek „kwestyi kolejowej.“ — Połączenie kolei syberyjskiej z Pekinem. — Pekin — Han-kou. — Han-kou — Kanton i inne. — Rozgraniczenie sfery wpływów Anglii i Rosyi. — Koleje Indo-Chińskie.)

Uważni czytelnicy działów politycznych w dziennikach spostrzegli bezwątpienia, jak często jest w nich mowa o kolejach w Chinach, ile tam przykładów energii i zabiegów państw europejskich i Ameryki, by zdobyć sobie nową koncesyę kolejową lub przywilej na eksploatacyę i rozszerzenie starej. Rzeczywiście bowiem posiadanie środków komunikacyi w swych rękach jest dla mocarstw, chcących grać poważniejszą rolę na Dalekim Wschodzie, kwestyą tak ważną, że dochodzą one do starć nader niebezpiecznych (np. w lipcu r. 1898 i lutym 1899), skoro tylko sprawa zatrąci o koleje. Można powiedzieć, że dotychczas po za, oczywiście, usiłowaniami pozyskania dzierżawnego nowych terytoryów, większa część zabiegów państw obcych skierowana była ku zadaniu, które już dotąd pochłonęło miliard franków, użytych na budowę 10,000 kilometrów kolei. Dlatego, na zakończenie naszych artykułów, wypadnie nam jeszcze przyjrzeć się (jeżeli łaska, przy pomocy dobrej mapy Chin) najważniejszym kolejom chińskim i ich znaczeniu zarówno ze stanowiska gospodarczego, jak politycznego.

Można powiedzieć, że kwestya kolejowa w Chinach datuje się od czasu, kiedy w Pekinie podpisana została konwencya Cassini (październik, 1896), będąca aktem wdzięczności względem Rosyi za jej poparcie Chin w wojnie z Japonią. Do tego czasu istniała tylko linia z Tientsinu do Szang-hai-kuan, wkrótce przedłużona do Pekinu. Zbudowana przez inżyniera angielskiego, obecnie jest całkowicie w rękach chińskich. — Inna mała linia, zbudowana niegdyś przez konsorcyum anglo-amerykańskie z Szanghai do Woosung, została odkupiona przez Chińczyków i zburzona, celem przeszkodzenia najściu białych „barbarzyńców“. Dopiero konwencya Cassini pchnęła sprawę kolejową naprzód: Rosya otrzymała koncesyę na połączenie kolei Syberyjskiej przez Mandżuryę z Girinem, Mukdenem i w ten sposób z Pekinem; zaraz utworzyło się „Towarzystwo wschodnio-chińskie“ i, połączywszy się z „Bankiem rosyjsko-chińskim“, (pierwsze miało kapitału 20 mil. franków, drugie 25 mil. fr., z których połowa francuskich), jęło się budowy po otrzymaniu prawa eksploatacyi tej linii przez 80 lat i przywilej ochrony jej w całym tym czasie przez wojska rosyjskie. Nieco później Rosya rozpoczęła budowę odnogi Mukden — Port-Arthur i zapewniła sobie na przyszłość połączenie sieci Mandżurskiej z siecią Koreańską.

Wkrótce potem syndykat francusko-belgijski, przy pewnem porozumieniu z Bankiem Rosyjsko-Chińskim, otrzymał koncesyę na równie niemal ważną linię Pekin — Han-kou, która ma być skończona ostatecznie w r. 1903.

Dnia 16 września 1893 r. podpisaną została umowa na kolej Han-kou — Kanton, którą podjęli Anglicy i Amerykanie, wbrew staraniom syndykatu francusko-belgijskiego. Długość tej linii wynosi 1,200 kilometrów. Anglicy także otrzymali prawo budowy i eksploatacyi linii Kanton — Kao-lung, która skończy się na wybrzeżu, patrzącem na Hong-kong (angielski), i ułatwi stosunki między temi wielkiemi ośrodkami handlowemi.

Gałęź wielkiej linii Pekin — Han-kou — Kanton do Szan-si dostała się w udziale Bankowi Rosyjsko-Chińskiemu, który już poczynił studya przedwstępne i powierzył budowę grupie przemysłowców francuskich. Godnym uwagi jest fakt, że dzięki tej drodze otrzyma się połączenie z Pekinu do Sin-gan-fu, tj. do miasta, które w razie niezwykłego niebezpieczeństwa lub wojny ze strony państwa morskiego, mogłoby być celem ucieczki cesarza chińskiego. Inna gałęź tejże Wielkiej linii centralnej, prowadząca do Honan, powierzona została syndykatowi anglo-włoskiemu. We wrześniu r. z. konwencya anglo-rosyjska ustanawia możność rozszerzenia tej sieci kolejowej aż do Siang-jang.

Wszystkie powyższe koleje, przedsiebrane, czy zapewnione dla siebie przez Anglię, wskazują stałą dążność rządu W. Brytanii do zneutralizowania możliwego znaczenia kolei Syberyjskiej przez skierowanie bogactw Chin środkowych ku morzu, resp. ku handlowi angielskiemu.

Równolegle do Wielkiej kolei Centralnej, lecz bez znaczenia konkurencyjnego dla niej, ma być przez syndykat angielsko-niemiecki przeprowadzona linia Tien-tsin — Czin-kjang, która połączy wielkie północne miasto handlowe Chin z siecią Szang-tunga, będącego w posiadaniu Niemiec, i siecią doliny Jang-tse, znajdującej się w sferze wpływów angielskich. Było dużo sporu o tę linię między temi mocarstwami, zakończonego pewnem zwycięstwem Niemiec, które zapewniły sobie przywilej użycia do budowy kapitałów wyłącznie niemieckich.

Niemcy także wywalczyły sobie w Szang-tungu (jak wiadomo, prowincyi obecnie „niemieckiej“) monopol eksploatacyi kopalń i budowy kolei. Dotychczas otrzymano koncesyę na linię Kiaoczau — Wei-hai — Tsi-nau-fu oraz linię basenu I-cze-fu.

Szczególną doniosłość posiadają koncesye angielskie w żyznej, bogatej dolinie Jang-tse-kjangu. Wszystko, co tam poczyniono w dziedzinie komunikacyi, posiada pierwszorzędną doniosłość ekonomiczną i polityczną. To też Anglia jest niewątpliwą panią w tej prowincyi, której rolę w „kwestyi chińskiej“ usiłowaliśmy uwydatnić w poprzednich artykułach.

Może najciekawszemi ze stanowiska zabiegów dyplomatycznych są dzieje kolei do Niutszuang (przedłużenie linii Pekin Szang-haikuan), opracowanej i, powiedzieć można, wymarzonej przez Anglię. Kiedy ta ostatnia otrzymała już była prawie ostatecznie ratyfikowaną koncesyę na tę linję, nagle ambasador rosyjski, Pawłow, opierając się na artykule 3 koncesyi Cassini, rezerwującym dla Rosyi prawo budowy kolei z Girinu do Szang-hai-kuan i Niut-szuang, zaprotestował przed rządem pekińskim przeciw zamiarom Anglii. Wzruszenie w świecie politycznym było tem większe, że lord Curzon w izbie gmin podał już był wiadomość o ratyfikacyi odpowiedniej umowy, a sir Mac-Donald otrzymał rozkaz upierania się przy pierwotnych warunkach. Długie pertraktacye między dworami doprowadziły do porozumienia; Anglia cofnęła swe pretensye i przystała na dostarczenie funduszów na budowę, bez hypoteki na przyszłej kolei, natomiast otrzymała 1) zgodę na przedłużenie linii z Pekinu przez Ho-nan-fu aż do Sianh-jang (syndykat angielsko-włoski), i 2) bardzo ważną koncesyę na kolej z Kao-lung do Kantonu. Jednocześnie jakby ostatecznie stwierdzone i przyjęte zostały dwie sfery wpływów: An-

glii w dolinie Jang-tse i Rosyi w Mandżuryi.

Koleje indo-chińskie, jak łatwo zrozumieć, jeżeli się pamięta o sąsiedztwie wspaniałych prowincyi Kuang-tung, Kuang-si i przedewszystkiem Junnanu, posiadają wagę niepoślednią. Tutaj jest sfera wpływów francuzkich i Francya też otrzymała wiele znaczących koncesyi, mówiąc nawiasem nie zawsze spożytkowanych, lecz zarezerwowanych, celem uniknienia współzawodnictwa angielskiego. Nie wiadomo jednak, czy da się ono usunąć na długo: wszystkie cele obecne Anglii, może tymczasowe zresztą, zmierzają do owładnięcia zarówno środkiem, jak południem Państwa Niebieskiego. Lord Curzon, były sekretarz stanu, obecny wicekról Indyi, niejednokrotnie dawał głośny wyraz dążeniom Anglii do dosięgnięcia Seczuanu, bogatej i ludnej prowincyi, przez Birmę i Junnan, zbudowania wielkiej łącznicy kolejowej między Indyami a tym nowym Egiptem i w ten sposób ostatecznego owładnięcia Azyą południową, nie wyłączając... Indo-Chin. Tak jest, „sfera wpływów francuzkich“ (o której koniec końców z tak dumną nadzieją mówią autorowie książki *La Chine qui s'ouvre*) jest pojęciem nader względnem, w każdym razie faktem nader nietrwałym. Rząd Rzpltej, mimo całego uświadomienia sobie wagi i wartości „kwestyi chińskiej“, nie zdoła zapewne przy dalszym rozwoju spraw (doprowadzającym ostatecznie do rozplątania motka chińskiego), zapobiedz koniecznej porażce w starciu z największym na świecie i w dziejach geniuszem kolonizacyjnym.

W powyższej notatce mówiliśmy tylko o najważniejszych liniach lub koncesyach kolejowych. Wszakże „kwestya kolejowa“ w Chinach posiada swą bardzo ciekawą i imponującą *poezyę*. Tak nazywamy plany, dobrze opracowane i gorąco umiłowane przez wielkie mocarstwa, a mające na widoku bardzo dalekie, ale tem rozleglejsze cele. Ta sprawa wszakże wymagałaby specyalnego opracowania.

B. Koskowski.

Z TYGODNIA.

Nadchodzą coraz to nowe wiadomości z Chin, potwierdzające, że Niemcy w Chinach zasłużyli sobie na zupełnie wyjątkową nienawiść tubylców. Arogancya Prusaków wzbudziła w konserwatywnym ludzie chińskim oburzenie, które teraz jednym wybuchło płomieniem. Po wizycie księcia Henryka pruskiego w Pekinie, gdy cesarza chińskiego zmuszono, aby wbrew etykiecie odwiecznej powstał na powitanie gościa, ukazały się w pismach chińskich artykuły pod tytułem: „Chiny muszą się uzbroić do wojny w pierwszej linii z Niemcami. Należy wymordować tych czerwonych dyabłów.“

Takie były pierwsze sukcesy zamorskiej polityki rządu niemieckiego, który radby wciąż powiększać flotę i coraz więcej swych „czerwonych dyabłów“ wysyłać za morze kosztem kieszeni biednego ludu, uciskanego podatkami.

Artykuły gazet chińskich jednomyślnie stwierdziły, że niema dla Chin innego ratunku przed zgubą i hańbą, jak wojna z Niemcami. Zajęcie Kiao-Czau przez Niemców rozgoryczyło Chińczyków; pisały wówczas o tem ich gazety: „Niemcy chcą gwałtem wydrzeć nam kraj nasz i rozdzielić pomiędzy mocarstwa europejskie, aby z nas wyciskać pracę i płody ziemi. U nich jest siła przed prawem. Niemcy żadnego prawa nie szanują, wierzą tylko w pięść swoją i swoje wojsko, wydzierają obcym narodom ich ziemię i jeszcze ich za to gnębią. Oni są gorsi niż zbóje. Niema tak złego narodu jak Niemcy, bo oni nie cofają się przed żadnem świętem prawem“.

„W Kiao-Czau stoi niecały tysiąc żołnierzy niemieckich. Jeśli Chińczycy się wezmą dobrze, to wyrzną ten zdradziecki naród do ostatniej nogi. My ich cywilizacyi nie potrzebujemy, bo razem z ich cywilizacyą stosunki w Europie są daleko gorsze, niż u nas w Chinach. Chińczycy, czy biedni, czy bogaci, czy mają mniej lub więcej ziemi, są zadowoleni z tego świata, bo ich nie dręczy i gnębi ucisk. Inaczej jest w państwach europejskich, gdzie biedny lud musi znosić ucisk, a przytem musi milczeć i poskarżyć mu się nie wolno, bo na wszystko są paragrafy prawne i biedaków sądy na kary skazują, jeśli prawdę o krzywdach powiedzą.“

Tak brzmiał artykuł chińskiej gazety, który podają gazety angielskie na dowód, że Niemcy sami sobie nawarzyli tego piwa. Słusznem też jest, aby je sami wypili.

Te uwagi potwierdzają obecnie świeże wieści, które nadchodzą z Pekinu.

Podają mianowicie zapatrywanie zamordowanego ambasadora Kettelera na misyonarzów europejskich i ich działalność w Chinach. Poseł Ketteler bardzo się ujemnie odzywał o działalności europejskich misyonarzy. Pisał on między innemi tak: Bogatsi i inteligentniejsi krajowcy prawie że nie mają styczności z misyonarzami. Tylko jakieś indywidua złotrowane lub skazane na jakie kary udają się do misyonarzy, przyjmują chrześcianizm i w ten sposób zdobywają sobie opiekę i bezkarność wobec rządów chińskich. W ten sposób liczni złodzieje i mordercy uchodzą z rąk sprawiedliwości, gdyż misyonarze biorą ich pod swoją opiekę. Powstaje ztąd łatwo zrozumiałe rozgoryczenie u ludności i pokrzywdzonych, którzy widzą w obcych chyba protektorów, opryszków i złodziei.

Powstanie w Chinach ogarnia obecnie coraz szersze koła ludności i trudno doprawdy przewidzieć, jak się cała wojna zakończy. Jedno tylko jest pewne, a mianowicie, że nie tak prędko się sprawdzi zapowiedź cesarza Wilhelma II, który obiecał zatknąć zwycięzką chorągiew niemiecką na murach Pekinu. Spełnienie tej zapowiedzi napotka poważne trudności już z tego powodu, że Pekin jest nadzwyczaj silnie ufortyfikowany. Pekin jest ze wszystkich stron tak doskonale obwarowany, że niepodobna zdobyć go szturmem, jeżeli tylko Chińczycy zdobędą się na energiczną i umiejętną obronę. Jest to bodaj najsilniejsza forteca w stylu średniowiecznym. Wązki kanał, otaczający całe miasto, wprawdzie nie ma znaczenia; tem potężniejsze są znajdujące się za nim wały. Są one blizko 11 metrów wysokie i u góry 18—19 metrów szerokie, a składają się z nasypu ziemnego, ujętego z obu stron w mur kamienny. Na zewnątrz wystaje ponad właściwym wałem jeszcze mur mniej więcej dwumetrowy; cała wysokość warowni wynosi więc blizko 13 metrów, czyli 41—42 stóp. Na wał tak wysoki zapomocą drabin dostać się nie można, zwłaszcza, że bronią go umieszczone w odległości 100 stóp od siebie wieżyczki, z których można ostrzeliwać idącego do szturmu nieprzyjaciela z karabinów. Oprócz tego można bronić wału za pomocą dział z fortyfikacyi, tworzących bramy, które wysuwają się na 20 metrów przed linią wałową. Opanowanie tych bram jest również tak dobrze, jak niemożliwe, a przytem nie zdałoby się na nic. Tworzą one bowiem osobne forty, z których bramy nie prowadzą wprost do miasta, lecz wychodzą na bok w wązkie uliczki, przeprowadzone pomiędzy wałem a murami przyczółka bramy. Opanowawszy więc bramę, nieprzyjaciel znalazłby się w matni, z którejby nie zdołał się wydobyć.

Słowem, fortecy tej nie można zdobyć bez zrobienia wyłomu w murze. Mur ten zaś jest tak silny, że jakkolwiek z zewnątrz widzialny na całej przestrzeni, artylerya polna niewystarczyłaby do jego zburzenia. Do zrobienia wyłomu trzeba koniecznie artyleryi ciężkiej, oblężniczej, a potem jeszcze niełatwą będzie rzeczą dostać się do miasta. Mur, otaczający wał ze strony wewnętrznej (od strony miasta), nawet przy najenergiczniejszem ostrzeliwaniu pozostanie nietknięty, i dostawszy się na wał, trzeba będzie za pomocą drabin zejść z niego, aby wtargnąć do miasta. Poprzednio zaś trzebaby koniecznie opanować przynajmniej jedną z bram sąsiednich. W razie przeciwnym bowiem, żołnierze, którzyby wtargnęli do miasta, znaleźliby się w formalnej pułapce, mając po za sobą stromy

mur na 11 metrów wysoki. Ceremonia więc zatykania zwycięzkich sztandarów niemieckich na murach Pekinu łatwo zamienić się może w ceremonię zatykania na tychże murach ściętych głów niemieckich najeźdźców. *K. O.*

PRZEGLĄD PRASY.

Artykuł szan. współpracownika naszego *Vestera* p. t. „Polska dla Polaków“ wzbudził w prasie naszej liczne komentarze, a i do nas nadeszło dużo listów w tej sprawie.

Najpoważniejsze i najobszerniejsze omówienie wspomnianego artykułu znajdujemy w **„Kuryerze Poznańskim“**, który o wyrażonej przez nas zasadzie „Polska dla Polaków“ tak pisze:

„Tak jak starczy nasze społeczeństwo na misyonarzy, tak i na grosze na misye, a zawsze pozostanie nam tradycya posłannictwa naszego, zawsze apostolstwo myśli Bożej, jaśniejącej na czole naszego narodu.

„Co innego jest tworzenie jakichś legionów zagranicznych lub choćby tylko garści ochotników, to nierozsądne, a szkodliwe! ale też każdy uzna, że takie awanturnicze porywy nie licują bynajmniej z misyami i z niemi wcale w porównanie iść nie mogą.

„W artykule p. Vestra wiele jest jednak słuszności, bo tendencya jego niewątpliwie jest prawa, jako wynikająca z chęci usłużenia krajowi.

„Że wielokrotnie byliśmy wyzyskiwani przez obcych, że stawaliśmy się składkującymi i zbierającymi ajentami najrozmaitszych instytucyi od Turynu aż do Kopenhagi — to wielka prawda, ale też już dość dawno — jak przyznał p. Vester — nasz X. Arcypasterz w tej mierze odzywał się i w pewne karby kazał ująć tę ofiarność naszego ludu.

„W bieżącym zaś roku utworzyło się rozległe Stowarzyszenie „Straż św. Józefa“, mające zapobiegać wyzyskiwaniu naszego ludu, a wspierać nasze kościoły i inne potrzebne nam instytucye.“

Z prawdziwą przyjemnością dowiadujemy się z powyższych słów, że Szanowne Duchowieństwo nasze w uznaniu niezliczonych szkód, jakie lud nasz ponosi wskutek wyzyskiwania na rozmaite składki, przedsięwzięło odpowiednie kroki, aby wyzyskowi tamę położyć, a ofiarność skierować we właściwą stronę. Co się zaś tyczy zasadniczych zastrzeżeń, zrobionych przez „Kuryer“ naszemu artykułowi, to nam się jednakowoż zdaje, że ofiarność nasza, czyto w pieniędzach, czy w ludziach powinna mieć naturalne swe granice, nakreślone naszemi skromnemi siłami. Jak żaden kapłan przecie nie pochwali obfitej jałmużny danej z pieniędzy przeznaczonych np. na najbiedniejsze utrzymanie ubogiej rodziny, tak też trudno się godzić na szafowanie siłami dla dobra obcych, skoro nasz byt narodowy jest bytem takiej najuboższej z ubogiej rodziny. Prawda, że „nasza chwała i chluba w świecie polega na tem, iż dla wszelkich ideałów duch naszego narodu zawsze był dostępny i hasła miłości bratniej wyznawał nietylko w słowie, ale i w czynie“ – z drugiej jednak strony trzeba zauważyć, że naród nasz bronił piersią swą Europę od najazdu Tatarów, że walczył z Moskwą, że nawracał Litwę i pod Wiedeń spieszył wtedy, *kiedy miał siły po temu*, wtedy, gdy go stać było na te ofiary. Czy dziś zaś stać nas na to?

Odpowiedź łatwa.

W tymże artykule poruszano bardzo aktualną sprawę: *że Polacy na obczyźnie nie uczęszczają dość pilnie na polskie nabożeństwa.* Jest to sprawa tak ważna, że poświęcimy jej osobny artykuł. Obecnie zaznaczyć byśmy chcieli potrzebę omówienia tego tematu przez pisma polskie wychodzące na obczyźnie. Mianowicie **„Dziennik Berlinski“** zapewne tej sprawie tak ważnej poświęci kilka uwag i zachęty doda opieszałym rodakom, którzy dają niemieckim kapłanom powód do uskarzań się na Polaków. Bardzo byśmy ubolewali, gdyby to pismo, zajęte obecnie reformowaniem całej Polski, jak niemniej i Europy, nie znalazło dotąd miejsca na omówienie spraw lokalnych, najbliżej miejscowych Polaków obchodzących. Uwagę tę dodajemy życzliwie do słusznych uwag **„Orędownika“**, który o nowej redakcyi w Dzien. Berl. pisze co następuje:

„Nowa redakcya zapowiada, że chce pchnąć społeczeństwo polskie na — „inne tory“, nie ma wiary w obecne stosunki, nie wiele sobie po nich obiecuje, — mając przed oczyma wzmocnienie żywiołu polskiego w zaborze pruskim, skarży się na te stosunki, szuka sposobów naprawy Rzeczypospolitej — i myśli, czy marzy o ogłoszeniu organizacyi narodowej z rządem narodowym.

„Dotąd widzimy w tem, co „Dziennik Berl.“ napisał, wiele ognia, zapału i krewkości. Pogląd jego jest szeroki, aż nadto szeroki, bezbrzeżny. Ogarnia cały naród bez względu na polityczny podział jego, wiąże stosunki europejskie z interesami całego narodu, zwraca się ku wielkiemu postępowi w świecie, chce tworzyć organizacyą wewnątrz narodu, a po za narodem szuka sojuszów z ideami stronnictw postępowych.

„Tak nam się przedstawia obecna polityczna postawa „Dziennika Berl.“, o ile o niej można sądzić z dotychczasowych jego artykułów.

„I właśnie na podstawie tego uważamy sobie za obowiązek wypowiedzieć otwarcie nowej Redakcyi „Dziennika Berl.“, że — jak dotąd — to weszła na najlepszą, bo najkrótszą drogę, żeby z czasem zostać największym wrogiem ruchu ludowego w zaborze pruskim, nie tylko tego, który nasze pismo reprezentuje, ale i tego, jaki „Dziennik Berl.“ chce propagować, a więc wrogiem swego własnego kierunku.

„Taki koniec musi nastąpić z psychologicznego nastroju nowej Redakcyi. Widać u niej rozdrażnienie, niecierpliwość, brak umiarkowania przy pospiechu i rozrzuceniu myśli na wszystkie strony, wprost uniemożliwiającym głębsze, wytrawniejsze rozważanie poszczególnych spraw żywotnych, zkąd one wypływają, na jakich punktach się wiążą, a na jakich rozchodzą. Są więc — jak dotąd — dane nowej Redakcyi wszystkie warunki, żeby się znalazła pod gruzami swych projektów — jak dotąd — równie licho, jak z rozmachem wiązanych i żeby się w tych gruzach własnym ogniem strawiła.“

Do powyższych uwag dodać chcemy jeszcze jedno, własne spostrzeżenie. Oto w ostatnim czasie szukaliśmy naprożno w „Dzien. Berl.“ materyału do skreślenia choćby luźnego artykuliku o Polakach w Berlinie, natomiast natrafiliśmy na artykuły, które również dobrze mogłyby wyjść w warszawskiej „Pochodni“ lub w jakiem amerykańskiem piśmie polskiem. Jeszcze więc raz oddajemy pod baczną uwagę „Dzien. Berlińskiego“ fakt powyżej przytoczony, że *Polacy na obczyźnie nie uczęszczają dość licznie na polskie kazania.* Społeczeństwo ciekawe byłoby poznać przyczyny tego faktu.

Uwagę bardzo na czasie umieszcza **„Przewodnik Katolicki“**:

„Dla ochrony dziewcząt, wychodzących na robotę i udających się w tym celu do wielkich miast, utworzyła się komisya, która sobie postanowiła za zadanie, już na dworcach czuwać nad tem, aby przybywające dziewczyny nie dostawały się w złe ręce. Jedna z komisyi, której siedzibą jest Berlin, nadsyła nam przestrogę, którą chętnie umieszczamy, ufni, że przysłużymy się w ten sposób dobrej sprawie i że uchronimy niejedno uczciwe dziewczę od wielkiego niebezpieczeństwa dla duszy i ciała.

„Otóż jej brzmienie:

„Dziewczęta, czytajcie i rozważajcie!

„Berlin bardzo wabi i nęci młode dziewczęta, które tam szukają zajęcia jako piastunki, służące, sprzedawaczki i bony. Rokrocznie setki pielgrzymują do tego miasta z nadzwyczajnemi nadziejami i setki tam giną, a między niemi bardzo wiele „katolickich“ dziewcząt. Ze względu na religią, na moralność, oraz zdrowie i szczęście nie można zatem dość was przestrzegać od tej wędrówki do Berlina. — Daleko jest zwykle tam do kościoła, często państwo nie pozwalają na dopełnienie przykazań kościelnych, źli ludzie czyhają na to, aby niewinne dziewczęta rozmaitemi sztuczkami i namowami doprowadzić do upadku.. Wysokie są wprawdzie w Berlinie zasługi,ale często brak miejsca, lub choroba wiodą do nędzy największej. Stosunkowo bardzo tylko mała liczba wychodzi cało z tych wszystkich niebezpieczeństw.

„Nie licz moje dziewczę, na żadne szczęście dla siebie w Berlinie — „zostań raczej w swojej ojczyźnie, w swoim kraju.“

„A jeśli nie chcesz usłuchać naszego głosu, to przynajmniej nie chódź do Berlina bez pozwolenia rodziców lub opiekunów, nie chódź bez rozmówienia się ze swoim duszpasterzem, któremu zależy na twem szczęściu.

„Nie chódź do Berlina jeżeli naprzód się nie zgodziłaś w pewne miejsce, abyś tam zaraz po przybyciu do Berlina mogła zajechać. A jeżeli już bez tych ostrożności jedziesz, to strzeż się na drodze tam dotąd, na stacyach i we wagonie w kolei stręczarzy i stręczarek, nie wdawaj się z nikim w rozmowę, lecz przybywszy do Berlina oglądaj się na dworcu za paniami mającemi na ramieniu „żółto-białą przepaskę,“ które

dla miłości Boga wzięły sobie za zadanie, dopomagać ci radą i czynem a strzedz cię przed oszustwami. Te panie znajdą ci albo zaraz miejsce, lub też tymczasem umieszczą w katolickich zakładach: u Panny Maryi, Michaelkirchplatz 3; u Panny Maryi Ackerstrasse 117; u św. Katarzyny, Greifswalderstrasse 2; u św. Afry, Granstrasse 31, gdzie za tanie pieniądze dostaniesz utrzymanie, póki nie znajdziesz miejsca.

Berlin, w czerwcu 1900.

Katolicka komisya do opieki nad dziewczętami po dworcach."

Odezwę powyższą polecamy bacznej uwadze rodziców, którzy wysyłają do Niemiec swoje córki.

Jak wiadomo, kwestya braku robotników rolnych sprowadziła w obozie hakatystów rozdwojenie. Jedni są za dopuszczeniem robotników Polaków, inni zaś ze względów politycznych nie chcą o tem słyszeć.

Interesującą korespondencyą z Poznania zamieścił w tej sprawie **„Kuryer Lwowski“:**

„Wobec dotkliwego braku robotników rolnych, przedstawiciele wielkiej własności ziemskiej we wschodnich dzielnicach Prus starają się o pozyskanie robotników z Królestwa Polskiego i Galicyi i domagają się od rządu złagodzenia przepisów, dotyczących ich pobytu w Niemczech. Rzeczywiście stosunki są takie, że wielka własność ziemska nie może obywać się bez pomocy robotnika polskiego, ponieważ robotnik miejscowy wyrusza wiosną tłumnie w głąb Niemiec, i możnaby zatrzymać go na miejscu tylko przez znaczne podwyższenie płacy. Na to zaś rolnik, obciążony długami i podatkami, zdobyć się nie może. Nie chcąc sprowadzać do kraju Polaków, starali się Niemcy ostatniemi czasy o pozyskanie robotników szwedzkich lub włoskich, ze skutkiem ujemnym. Szwedzi nie są skłonni do wędrówek, zwłaszcza, że znajdują w kraju własnym dostateczny zarobek; sprowadzaniu Włochów zaś zapobiegło ministerstwo gen. Peloux, przestrzegając lud publicznie przed wychodźtwem do Niemiec, gdzie czeka go tylko wyzysk ekonomiczny. Niemcy więc musieli pogodzić się z koniecznością sprowadzania robotników polskich. Najgorliwsi hakatyści jednak uważają środek ten za zabójczy pod względem politycznym, a pomiędzy innemi wystąpił jeden z 3 założycieli towarzystwa antypolskiego, p. Hansemann, stanowczo przeciw sprowadzaniu robotników z Królestwa Polskiego i Galicyi, starał się wykazać, że wielka własność ziemska może obywać się bez pomocy Polaków, a wszystkim myślącym inaczej zarzucił zdradę interesów narodowych.

„Artykuły p. Hansemann'a wywołały w obozie konserwatywnym szaloną burzę. Posypały się gwałtowne odpowiedzi, i kończyło się na tem, że główny organ junkrów pruskich, „Kreuz Ztg.“, nazwał politykę p. Hansemann'a najgorliwszego z gorliwych obrońców „uciśnionej niemieckości“ nienarodową. P. Hansemann pisze „Kreu Ztg.“, jest tylko amatorem-rolnikiem, i, posiadając miliony gotówki, może zrobić najróżniejsze eksperymenty; a w razie potrzeby zrezygnować zupełnie z dochodu z dóbr swoich. Inni rolnicy jednak muszą żyć ze swej własności ziemskiej i wydobyć z ziemi tyle, aby starczyło im na spłacanie długów i podatków. Jeżeli nie wygospodarują tyle, ile potrzeba — a nie mogą tego bez pomocy robotnika polskiego — wtedy dobra ich pójdą na sprzedaż przymusową, a nabędą je naturalnie Polacy, i skutkiem „narodowej polityki“ p. Hansemann'a będzie osłabienie żywiołu niemieckiego „na kresach wschodnich“.

Rozumie się samo przez się, że ta wojna domowa w obozie hakatystów ich stosunku do Polaków w niczem nie zmienia. *B. M.*

Korespondencya specyalna „Pracy.“

Z Galicyi.

Smutnie się zapowiada rok bieżący u nas. Upusty niebieskie otworzyły się i spowodowały powodzie, o jakich dawno już nie słyszano. Komunikacya kolejowa w wielu miejscach była przerwana, a szkody są poprostu nieobliczalne.

Lecz nawet gdyby nie świeża klęska, powódź, zbiory byłyby skąpe, nie wystarczające na wyżywienie rodzin, a o spieniężeniu czegokolwiek ani mowy być nie mogło. Wiosna była chłodna i późna, następnie chwyciły raptownie gorąca i posucha. Oziminy w znacznej części powyorywano, a co zostało, to w wielu okolicach na zasiew nie starczy. Myszy i ślimaki spustoszyły również wielkie przestrzenia.

Wobec tego powódź, o jakiej donoszą ze wszystkich stron kraju, jest tem groźniejszą. Trzeba uważać za jej nieuniknione następstwo głód ze wszystkiemi następstwami, jak: choroby, emigracya, wyprawy lichwiarskie itp.

Komitety ratunkowe, które się już tworzą, nie będą w stanie uchylić, ani nawet zmniejszyć wydatnie grozy położenia. Mogą one złagodzić w kilkunastu wypadkach gwałtowne przejawy klęski, ale nic więcej. Pomódz może i powinien pomódz skutecznie skarb państwa.

Za przykładem istniejących w Księztwie z wielkim pożytkiem dla sprawy rozwoju ekonomicznego Kółek rólniczych zawiązały się i w Galicyi takie Kółka, a dziś wszelkie prawo mają do tego, aby zaliczyć je do tych instytucyi, które dobrze się przyjęły na gruncie galicyjskim i dążą do coraz szybszego rozwoju.

Kółka te były wystawione w pierwszych latach na ciężkie próby. Zwolna wszakże zjednywały sobie zaufanie, zdobywały coraz trwalszy grunt, wzmacniały swoje organizacye, a dzisiaj Towarzystwo Kółek rólniczych, chociaż i obecnie nie braknie mu przeciwników, cieszy się uznaniem, poparciem rządu, władz autonomicznych, sejmu, obudwu centralnych krajowych Towarzystw gospodarczych, oraz licznego grona poważnych osobistości i opiera się na tak silnych podwalinach, posiada tyle warunków dla dalszego rozwoju, iż o byt jego można być spokojnym. Od założenia, aż pod koniec roku zeszłego, czyli w ciągu lat siedemnastu powstało ogółem 1484 Kółek, a z liczby tej istnieje obecnie i uznanych zostało przez zarząd za żywotne 1250. Cyfra to w każdym razie poważna i dowodząca, że te warstwy ludności, dla których istnieje właściwie instytucya Kółek rólniczych zrozumiały jej znaczenie i wartość.

Świeżo odbył się w Krakowie IX zjazd lekarzy i przyrodników polskich. Przebieg zjazdu był świetny.

Licznie zgłosili się członkowie z odczytami.

Program posiedzenia w sprawie zwalczania gruźlicy na zjeździe ułożono w ten sposób, że wyczerpano wszystkie strony zagadnień naukowych i praktycznych. W tym celu podzielono cały materyał posiedzenia na 4 grupy. Pierwsza grupa obejmowała czynniki przyczynowe i sposoby szerzenia się gruźlicy, wpływ czynników usposabiających, spostrzeżenia co do t. zw. dziedziczności. Sprazdawcami byli w tym dziale: profesor hygieny na wydziale lekarskim lwowskim Bądzyński, drowie: Hewelke i Sokołowski z Warszawy.

W grupie drugiej przedstawione były statystyczne wykazy gruźlicy w Galicyi w porównaniu ze statystyką w W. Ks. Poznańskiem i w Królestwie Polskiem, oraz zagraniczną, dane statystyczne, oraz dane, zebrane w towarzystwach ubezpieczeń na życie. Referaty objęli: protomedyk Galicyi dr. Merunowicz, dr. Karwowski z Poznania, dr. Polak z współudziałem d-rów Tchórznickiego i Sterlinga, którzy opracowali statystykę miast w Królestwie Polskiem, dr. Dmochowski statystykę szpitali warszawskich i prowincyonalnych, wreszcie dr. Dobrski przedstawił statystykę towarzystw ubezpieczeń na życie, działających w Królestwie.

Prezesem rzeczywistym zjazdu był dr. Dunin z Warszawy, zjazd zaś przemową uroczystą otworzył profesor dr. Kostanecki z Krakowa. Sekretarzem zjazdu był dr. Krysiewicz z Poznania.

Niemiłą niespodziankę zgotował rząd austryacki uczestnikom zjazdu. Oto ministerstwo wojny zakazało lekarzom wojskowym uczestniczyć w zjeździe lekarzy i przyrodników polskich. Zakaz ten wywołał ogromne zdziwienie, zjazd bowiem zajmował się tylko fachowemi sprawami. Na ostatniem posiedzeniu komitetu, urządzającego zjazd, dano wyraz temu przykremu zdziwieniu i uchwalono wysłać jako delegatów: prof. dr. Kostaneckiego i prof. dr. Witkowskiego, z przedstawieniem do komendanta korpusu br. Alboryego, a równocześnie zwócić się z telegraficznem przedstawieniem do ministra dr. Piętaka.

Świetnie rozwija się towarzystwo literackie imienia Adama Mickiewicza we Lwowie. Skonstatowano to na walnem zgromadzeniu z zeszłego tygodnia. Skutkiem rezygnacyi prezesa prof. Romana Pilata, wybrano prezesem prof. Bruchnalskiego, pod którego redakcyą wyszedł ostatni tom dzieł Mickiewicza, wydanych staraniem Towarzystwa.

Profesora Pilata, za zasługi położone około rozwoju Towarzystwa od lat 14, wybrano prezesem honorowym.

Postanowiono w miarę jak na to pozwolą fundusze, oprócz dalszego wydawnictwa dzieł Mickiewicza wydawać tak-

że w najbliższym czasie kwartalnik literacki.

Z nowinek literacko-dziennikarskich zanotować należy:

W Krakowie zaczął wychodzić „Głos“, pismo społeczne i literackie, we Lwowie zaś „Tygodnik Narodowy“ przeszedł na własność p. Klemensa Kołakowskiego z Czerniowiec. *X.*

Głosy od Przyjaciół.

Komorna Wielka, p. Tucholą (p. Tuchel Westpreussen) 21. 7. 1900.

Redakcya Tygodnika „Pracy“ Poznań.

Szanowna Redakcyo!

Ostatni numer (30) „Pracy“ jest tak świetny, że pragnąłbym go posłać dwom przyjaciołom. Może by szanowny Redaktor zechciał wysłanie polecić, a mianowicie: Wny Zygmunt Chojecki, Bad Weissenburg-Schweiz, Grosses Curhaus i Wny Władysław Wolski, Zakopane, Oesterreich (Galizien), Villa Jordanówka. Dołączam 50 fen. w znaczkach.

Przy tej okazyi pozwól, szanowna Redakcyo, że Wam wyrażę moje szczere uznanie dla Waszej pięknej patryotycznej działalności obywatelskiej, moję głęboką sympatyę dla Waszej „Pracy“ i jej zacnego i szlachetnego kierunku!

Obyście jaknajwięcej mieli czytelników i oby się ci czytelnicy przejęli, temi wzniosłemi zasadami, które głosicie!

Przyjm, szanowny Redaktorze, wyrazy najgłębszego mego szacunku.

Szczerze Wam życzliwy i powolny sługa
Adam Janta-Półczyński (syn),
obywatel ziemski.

* * *

Dellwig w Nadrenii.

Szanowna Redakcyo „Pracy“!

Proszę Cię bardzo o zamieszczenie tych kilku moich słów w łamach twego pisma. Mam na myśli, rzadką uroczystość 40-sto letnią pracy literackiej pana Józefa Chociszewskiego. Z tej okazyi odzywam się do wszystkich przyjaciół Czytelników Pracy, i wogóle do wszystkich Rodaków czy w kraju lub na obczyźnie, rozproszonych w Europie czy w Ameryce lub w Australii, aby każdy wielkim czy małym datkiem, poparł onego Męża, który wszystko, co miał oddał Ojczyźnie, a teraz na starość niema swego własnego zakątka, gdzie by mógł bezpiecznie swą głowę skłonić. Może mnie kto zapyta któż to jest ów Józef Chociszewski? Nie potrzebuję chyba nikogo informować, gdyż Jego imię jest znane, gdzie tylko polskie serca biją. Kto nam napisał tyle dzieł dramatycznych, religijnych i poważnych, któż nam napisał dzieje naszej Ojczyzny ukochanej od początku aż do jej rozbioru, w książce pod tytułem „Dzieje narodu polskiego“, gdzie w każdem skreślonem słowie mieści się prawdziwa miłość Ojczyzny? Któż nam opisał w książce pod tytułem: „Zarys dziejów Polski porozbiorowej“ owe nieszczęśliwe chwile narodu polskiego, chwile, w których nam nasz kraj na trzy części rozszarpano a braci naszych brano na męki albo pędzono w daleki Sybir? Któż nam opisał w książce pod tytułem „Malowniczy opis Polski“ nasze obyczaje i zwyczaje, nasze miasta, rzeki, jeziora, kopalnie itd. itd., nie mówiąc już o innych dziełach humorystycznych, i wesołych, oraz religijnych? To wszystko nam napisał ów Mąż nieustraszony, który za swe dzieła i za prawdę musiał ponosić długoletnie więzienie. Zaiste jest to Mąż, z którego się możemy chlubić i który zasługuje na to, aby w każdym polskim domu znajdowały się jego dzieła. W domu, gdzie jego książki są czytywane, tam każdy będzie kochał to, co nam jest najdroższe. Każdy choć ubogi powinien choć 10 fen. na ten cel złożyć, gdyż on nas nauczył kochać nasz kraj polski, on nas nauczył cierpieć za niego, dając nam po sobie przykład. Gdym miał zaledwie 11-cie lat, dostała mi się do ręki książka „Dzieje narodu polskiego.“ Czytając ono dzieło, szczerze pokochałem swą ziemię, wiarę i język ojczysty, i choć później Opatrzność Boska zrządziła, iż dostałem się w kraj obcy, i do dziś dnia po nim się tułam, to jednak nic się nie zmieniłem, a to wszystko zawdzięczam szan. sędziwemu Jubilatowi Józefowi Chociszewskiemu, któremu składam w imieniu wszystkich rodaków rozproszonych na obczyźnie moje najserdeczniejsze życzenia, i stokrotne Bóg zapłać!

Pełen najgłębszego uszanowania
Czytelnik „Pracy“,
Marcin Klota.

Pozdrowienie z wygnania.

Władysław z nad Wisły rodakom się kłania,
Co za miłość ku swoim — doczekał wygnania —
A dola wygnania jest gorzka i sroga
I tylko się ulży — gdy westchniem do Boga.
Ramiona Chrystusa dla wszystkich otwarte,
Tuli korony błyszczące i siermięgi wytarte.
A zatem nademną tu w obcej krainie
Nauka Chrystusa na marnie nie zginie,
Nauczy — Pokory, Cierpliwości, Wiary —
Wszak kochać współbraci — obyczaj nasz stary.
Modlitwa błagalna najrzewniej z ust płynie
Gdy człowiek w przypadku śmiertelnym już ginie —
Tak i piękności swej ziemi poznaje
Wygnaniec — co w obcej krainie zostaje —
I wciąż jest smutny i czegoś mu braknie,
Świeżego powietrza z ojczystych stron łaknie,
Nie prędzej on się w swym żalu utuli,
Aż w grobie do łona Ojczyzna przytuli.

X.

Z pamiętnych chwil.

XIV.

Po bitwie pod Sokołowem, gdzie nasze wojsko dzielnie pogromiło Prusaków rozpoczęła się wskutek niezgody w obozie polskim, bezcelowa tułaczka.

Mierosławski postanowił skorzystać z chwilowego zwycięztwa i dotrzeć pod same Gniezno, nie żeby je zdobywać, bo na to sił było zamało, a amunicyi jeszcze mniej, ale po to, aby budzącemu się w okolicy Gniezna powstaniu ludowemu dodać sił i zachęty a, powtóre, aby zmusić wojska pruskie roztoczone w obszernym okręgu w powiatach gnieźnieńskim, wągrowieckim i mogilnickim, zmusić do skurczenia się na tym jednym punkcie.

Dochodziły do kwatery głównej wiadomości, że lud w okolicy Szubina, Kcyni, Gołańczy, Wągrówca, Żnina, Kłecka i Rogowa, uzbroiwszy się, wyczekuje nadejścia wojska polskiego, aby się z niem połączyć. Rokując sobie tedy jeszcze pewne nadzieje, ruszył Mierosławski, chcąc dotrzeć do obronnego stanowiska nad jeziorami Rogowskiemi i wzmocniwszy się siłami, walkę dalej prowadzić. Nietrafiało to do przekonania licznym oficerom, którzy przez Brzeżańskiego usiłowali Mierosławskiego przekonać, że te hazardowne próby w żadnym razie wygraną skończyć się nie mogą, a dużo krwi nadaremnie przelanej kosztować będą. Mierosławski jednak trwał w swych zamiarach i 5-go maja o świcie poprowadził wojsko, każąc tylko Berliemu wraz z 300 strzelcami, oddziałem jazdy i kosynierów stanąć w Trzemesznie i bronić się do upadłego.

Gdy skłonni do układów oficerowie z Brzeżańskim na czele ujrzeli, że Mierosławski z garścią niedobitków zamierza istotnie prowadzić wojnę dalej i przemykać się lasami po całych tygodniach, trapiąc dorywczo Prusaków, w Mogilnie, około południa, spowodowali ostrą wymianę zdań, która przerwana została nagłem doniesieniem, że Berlie opuścił już Trzemeszno naciskany przez wojska pruskie i cofa się ku Mogilnu.

Ten odwrót Berliego zniweczył zamiary wydostania się z żelaznej obręczy, którą utworzyły wojska pruskie wokoło Polaków, zdawało się bowiem niewątpliwem, że skoro Berlie zetknął się już tak nadspodziewanie wcześnie z siłami pruskiemi, niema innego ratunku jak zawracać napowrót w matnię, z której naprożno się próbowano wydostać.

Szóstego maja rano, zamiast odetchnąć swobodnie w okolicy Rogowa, gdzie pewne były posiłki, a sieć wojsk pruskich przerwana, znaleźli się powstańcy pod Orchowem, na pół drogi od Gębic do Witkowa. Co gorsza, okazało się, że Berlie wykonał odwrót z Trzemeszna zupełnie niepotrzebnie, przerażony widokiem jakiejś zbłąkanej widety pruskiej, która się jego więcej bać powinna, niż on jej; lecz już było zapóźno, aby naprawić pomyłkę, gdyż przerwany w jednem miejscu pierścień wojsk pruskich zacisnął się już i wyjścia nie dawał.

Powrót, wielce bezładny, w dawne,

ogołocone z prowiantów leże niedopuszczał nawet samej myśli o stoczeniu bitwy z nieprzyjacielem; wreszcie bliskość granicy Królestwa działała pognębiająco na wojsko, przejęte przesadnym strachem wobec wojsk rosyjskich po drugiej stronie granicy. Obawiano się za lada poruszeniem ku granicy, że Mierosławski, zamierza przerzucić się do Królestwa a w miarę zbliżania się do kordonu, chłopi, jak pisze Mierosławski, „wsiąkali w lasy“ i całemi kompaniami opuszczali obóz.

Wieczorem dnia 6-go stanęło wreszcie wojsko w Skąpem pod Mielżynem, o 2 i pół mili od Wrześni. Obóz zupełnie zdezorganizowany, błąkanie się po zgliszczach i pobojowsku minionych zwycięztw, napawało jednych bezbrzeżnym smutkiem i rozpaczą, innych przekonaniem, że nie należy zwłóczyć z nawiązaniem układów, czyli prościej mówiąc, ze złożeniem broni. Było coś tragicznego w tem bezsilnem szamotaniu się w matni, w tem powolnem a jednak tak nieuchronnem konaniu organizacyi, której pierwsze ruchy naznaczyły się zwycięztwami.

Partya skłonna do ugody, z Brzeżańskim na czele, obiecywała sobie wytargowanie od Prusaków dobrych warunków z okazyi przyjazdu do Poznania generała Pfuela, któremu rząd dał zupełne pełnomocnictwo do „uregulowania stosunków W. Księstwa i przeprowadzenia organizacyi“, co poniekąd oznaczało misyę stłumienia powstania.

Pfuel, któremu przeciąganie się walki rozdrabniało władzę między polowych generałów, rad był jaknajprędzej wojnę zakończyć.

Na tej to niecierpliwości Pfuela i skłonności do układów opierano przypuszczenia, że złożeniem broni w porę uda się nietylko zażegnać prześladowanie ochotników, ale istotną jakąś reorganizacyą prowincyi wytargować.

W Skąpem więc zażądano od Mierosławskiego, aby zawiązał układy celem złożenia broni. Mierosławski odmówił. Wreszcie stanęło na tem, że Mierosławski po dawnemu władzę zatrzyma, wobec Prusaków jednak wystąpi Brzeżański jako dowódca i układy przeprowadzi. Ze Skąpego pomaszerowało wojsko, do niespełna 1800 uszczuplone, do Strzałkowa, Brzeżański zaś wysłał Szółdrskiego i Lalewicza na spotkanie Prusaków w celu rozpoczęcia układów. Pełnomocników Brzeżańskiego odesłano do Poznania do Pfuela. Wtedy Brzeżański, sądząc że lepiej sam układy przeprowadzi, wyruszył do głównego sztabu pruskiego.

Ósmego maja wojsko przedstawiało już bezkształtną zdezorganizowaną masę. Tylko bliskość pogoni i ciasność miejsca między Prusakami a granicą opóźniały zupełną rozsypkę. Z całego obozu może 500 ludzi stanęło na jednym z ostatnich etapów, w Murzynowie Borowem. Tu zaszło coś niespodziewanego. Alfons Taczanowski, który, mając sposobność widzenia się z Pfuelem, przyjął na siebie rolę dobrowolnego negocyatora, przekonał Pfuela, że Mierosławski ma ze dwanaście tysięcy karnego wojska; niemto pobił Prusaków pod Miłosławiem i Wrześnią i obronne stanowisko zajął po obu stronach Warty. Pfuel upoważnił Taczanowskiego do rozpoczęcia układów z Mierosławskim i zrobił propozycyę, aby kadry polskie, lecz tylko w sile 2 tysięcy, były zachowane. Gdy z temi propozycyami zjawił się Taczanowski w obozie, uznał Mierosławski, że nie mając nic do stracenia, na tej dyplomacyi, tylko skorzystać można, udał się więc z Taczanowskim w podróż, aby w pobliżu Poznania rozmówić się z Pfuelem i umowę zawrzeć a stanu rzeczy nie zdradzić. Lecz odesłani przez Wedla Pfuelowi wysłańcy Brzeżańskiego mimowoli się wygadali przed Pfuelem, że całe wojsko polskie to niespełna tysiąc żołnierzy, a wobec tego Pfuel nie chciał nawet mówić z nikim o żadnych układach, na spotkanie się z Mierosławskim nie pojechał i zlecił Wedlowi zawarcie umowy. Umowę tę zawarł Brzeżański w głównej kwaterze pruskiej pod następującymi warunkami: 1) że broń natychmiast będzie złożona; 2) że emigranci z Królestwa, Galicyi i Krakowa, czy to dowódcy czy podwładni, zostaną odprowadzeni do miejscowości między Elbą i Wezerą, skąd jeśli zechcą, mogą udać się do Francyi; 3) że ochotnicy z Księstwa Poznańskiego będą według powiatów podzieleni i odstawieni do landratów, którzy ich do domów rozpuszczą; 4) że landwerzyści i dezerterzy oddzielą się osobno, zaprowadzeni będą do Poznania i łasce królewskiej oddani; 5) że bezpieczeństwo osobiste zaręczone będzie tym, którzy broń oddadzą. Na miejsce złożenia broni wyznaczono Czarne Piątkowo, i ustanowiono, że kto na to miejsce nie przybędzie, podlega prawu doraźnemu. Oficerom pozostawione miały być pałasze.

Umowę tę w imieniu obozu przyjął i obwieścił pułkownik Oborski.

Na wieść o zawarciu układów, które wedle pojęcia ludu odbyły się w ten sposób, że „panowie opuścili Mierosławskiego, zrobili zdradę i żołnierza przy żołnierzu po talarze sprzedały,“ poszły plutony jazdy i piechoty, zabierając małe działka ze sobą, aby się przedrzeć do oddziałów partyzanckich Krotowskiego i innych, o tworzeniu się których dochodziły wieści do obozu. Co było w kasie pieniędzy, Brzeżański żołnierzom wypłacił.

Nie korzystając z warunków przez umowę z Prusakami zapewnionych, część żołnierzy z bronią w ręku ukryła się w lasach tworząc oddziały partyzanckie, część zaś broń zakopawszy lub zatopiwszy w jeziorach i stawach o żebraczym kiju wracała do domów. Gdy Wedell stanął z wojskiem w Czarnem Piątkowie dnia 10-go maja o 10-ej rano, aby uroczyście broń od powstańców odebrać, zastał tylko trzydziestu pięciu ludzi — bez broni i bez dowódców. Byli to po większej części schorzali i wycieńczeni pochodem o głodzie i chłodzie niedobitki, którzy woleli śmierć z ręki Prusaków, aby szybką, niż podobne do powolnego konania tułanie się po gąszczach i kryjówkach dzikich zwierząt.

Wojsko polskie przestało istnieć.

Prócz dwóch armatek, których partyzanci ze sobą zabrać nie mogli, a które na pośmiewisko wystawili później Prusacy na placu Wilhelmowskim w Poznaniu „żaden kawałek polskiego żelaza nie został dobrowolnie złożony u nóg Prusaków“.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Wolność bez Ojczyzny.

Napotkałem się z Wolnością — szła z nad brzegów Wisły
I witała rzewnie tułacza... Z oczu mych łzy trysły.
A gdy się z płaczem oddala — „Błagam — o Chryste!
Niech wrócić wygnańcom pozwala — w strony ojczyste!“
Spojrzała w oczy mi smutnie — wskazała swe blizny
I krwawym zabrzękła kajdanem: „I ja bez Ojczyzny!“

X.

Mikołaj Kopernik

skreślił

Zygmunt Słupski.

IV.

Po śmierci.

(Dokończenie.)

Burza, którą Kopernik przeczuwał, dopiero nad jego grobem srożyć się zaczęła. Umierał więc spokojny, przynajmniej ze strony Kościoła, bo ten z początku nie był jego zasadom przeciwny, a nawet zdawał się je uznawać. Oprócz bowiem sympatyi samego papieża i wspomnianego wyżej kardynała, oraz protekcyi b. Gize i innych dygnitarzy, gorliwe jego nauka znalazła poparcie we Francyi uczonego opata Bonikard, a w Anglii Wilkinsa, b. Chester i innych. Z początku już nawet w niektórych kolegiach duchownych zaczęto wykładać zasady nowej teoryi. Z czasem jednak zmienił się kierunek wiatru.

Ale szczęśliwy Kopernik, w porę z widowni ustąpił w wieczne zacisze, gdzie go już żadne nie mogły dosięgnąć gromy. Śmierć dobroczynna oszczędziła mu goryczy owych pocisków i prześladowań, jakie niebawem spaść miały na głowy jego obrońców.

Ledwo zagasły te cudowne, jasnowidzące oczy, które w ciemnościach nocy i chaosie pojęć, umiały dostrzedz odwieczną, wspaniałą prawdę: zaraz się liczne i silne podnoszą głosy w obronie obrażonej powagi starożytnej mądrości. A tem większy był do jej obrony powód, że ta mądrość bardziej dogadzała próżności człowieka. Człowiek bowiem — ten dumny król stworzenia — wolał pozostać w mniemaniu, że kula ziemska jest jedynym światem, a przynajmniej głównym i środkowym punktem w przyrodzie. Nie mógł się przeto pogodzić z nową nauką, która ją spychała do podrzędnej tylko roli wśród mnóstwa innych, większych światów.

Tak zuchwałe twierdzenie, sprzeciwiało się jego ambitnym a już ustalonym pojęciom. Zanim więc prawda ostateczny zdobyła tryumf, musiała wiele złożyć dowodów, ciężką przebyć próbę, stoczyć zaciętą i długą bo więcej niż wiek trwającą walkę z dumą człowieka, z jego zaślepieniem, uporem, przesądem i siłą przyzwyczajenia.

Zwykłe to dzieje wielkich reform.

A reforma Kopernika, bezwątpienia, była jedną z największych, a nawet wprost największą, jakie dotychczas ludzkość dokonała. Ten przewrot pojęć był tak obfitym w skutki, iż bez przesady można Kopernika nazwać nietylko ojcem samej astronomii, ale wogóle ojcem wszystkich późniejszych zdobyczy naukowych.

Jeśli dawniej umysł ludzki, skrępowany względami świata, często się musiał zadawalniać czczem, fantastycznem rozumowaniem, teraz śmiało, z bezprzykładną zaciętością kruszy kopie w obronie prawdy. Aby zaś zdobyć jaknajwięcej dowodów dla odparcia jej przeciwników, obie strony zaczynają szukać, badać, dociekać, idąc nową a najprostszą, lecz dawniej pomijaną drogą doświadczeń. A takie ścieranie się opinii, rodziło nowe myśli, nowe prawa i prawdy, nowe siły: każde odkrycie ułatwiało lub rodziło szereg innych.

Ten sam wspomniany już Tycho-Brahe, przeciwnik, ale i wielbiciel Kopernika, gromadzi dość obfity materyał. Korzystając z tej pracy, Kepler idzie dalej, z kolei torując znów drogę następcom. Z tych zaś Galileusz, — ów najsławniejszy Kopernika obrońca, który też najdrożej zwycięztwo jego prawdy okupił — dalej snując tę złotą przędzę myśli, ułatwia zadanie Newtonowi, a ten już stanowczy zapewnia tryumf nowej nauce naszego ziomka

Ale drogo przyszło ludzkości okupić tę bogatą zdobycz. Ten bowiem pamiętny w dziejach spór naukowy, zostawił też smutne wspomnienie, które jednak zasługę Galileusza jeszcze bardziej podnosi, dodając jego sławie blasku męczeństwa za wolność myśli i prawdę.

Oto silni tylko liczbą i popularnością swych zasad, przeciwnicy jeszcze nie chcieli uznać nowej nauki, pomimo licznych oczywistych dowodów, jakie na jej poparcie już zdołano zgromadzić. A w dodatku przybywa im potężna jeszcze pomoc ze srony Kościoła, który także występuje w szranki.

Walka teraz niewłaściwie przeniesioną została na pole teologii. A skutek tego był taki, że dnia 15go marca 1616 r. dzieło Kopernika uroczyście potępionem zostało przez Kongregacyą Indeksu, jako „zawierające myśli zupełnie z pismem świętem sprzeczne.“

Wyrok ten wprawdzie został później skasowany, ale dopiero w 1821 r.

Tymczasem zaś w r. 1633, za nieoględne słowo, powołano Galileusza przed kratki duchownego sądu w Rzymie. Znękany już starzec, aby się wydobyć z więzienia, podpisał wreszcie żądane odwołanie; ale je wbrew głębokiemu przeświadczeniu podpisawszy, wyrzekł te pamiętne słowa: „A jednak obraca się!“ (ziemia).

Dziś wiemy już na pewno, że miał Galileusz racyę. Widać ani żaden proces, ani żadna siła ludzka, nie mogła ziemi zmusić, aby na miejscu wciąż nieruchoma stała. A wyzwolony już umysł człowieka, niedając się żadnej władzy okiełznać, wciąż, mimo przeszkód, szedł dalej, z każdą chwilą nowe przynosząc dowody ruchy kuli ziemskiej, aż wreszcie nauka wielkiego Polaka, zupełny osiągnęła tryumf.

V.

Pamiątki.

Rodak nasz tej co Kopernik miary, zasłużył na najwyższą wdzięczność swego narodu, bo ten przez niego chwałą okryty, wiecznie z nim będzie jaśniał na kartach dziejów świata. A z tej księgi ludzkiej pamięci, żadna zawiść ani przemoc, jak jego tak i polskiego imienia wykreślić niezdolna.

Kopernik ma tem większe prawo do naszej czci i hołdów. Słuszna też, że wszystko, co z jego wspomnieniem związane, stanowi dla nas nieocenioną wartość. Każda jego pamiątka, to relikwia narodowa, a zbieranie i zachowanie tych relikwij, to nasz święty obowiązek. Chciałbym w każdem mieście widzieć jego pomnik, w każdej chacie polskiej, jego portret, tak jak w każdem sercu polskiem, niewygasłą pamięć i chlubę, że to nasz rodak.

A na takie pomniki zawsze nas stać.

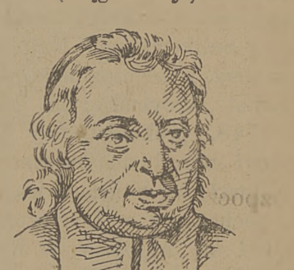
Mamy też różne już tłumaczenia jego dzieł z łaciny na język ojczysty, mamy również liczne życiorysy lub rozprawy i poetyckie utwory jemu poświęcone. W Rzymie, za wpływem i staraniem naszem, powstało jemu wyłącznie poświęcone muzeum. Wiele też medali na jego cześć wybito. Medal z r. 1879 przez cztery włoskie uniwersytety bity, wyraźnie stwierdza polskie Kopernika pochodzenie. Napisy innych medali stwierdzają to samo.

W mieście rodzinnem Toruniu, prócz kościelnego pomnika z połowy zeszłego wieku, stoi też na publicznym placu wspaniały z bronzu odlany monument. Jeszcze w r. 1809, rząd ks. warszawskiego, chwilowo, z powodu wojny, przebywając w Toruniu, postanowił tam uczcić kolebkę wielkiego Polaka. Posypały się hojne na ten cel składki. Zamówiono już pomnik u znakomitego snycerza duńskiego, Thorwaldsena, a nawet już i kamień węgielny uroczyście został położony; gdy jednak zmieniły się okoliczności polityczne, i Toruń do dzisiejszych Prus przyłączono, pomnik ten w r. 1830 stanął w Warszawie. Pomnik zaś, który dziś w Toruniu stoi, już samo miasto wystawiło, ale dopiero w 1853 r.

W Frauenburgu również znajduje się pomnik w tej samej katedrze, której niegdyś uczony, biskupa zastępował. W Krakowie obecnie są aż dwa: jeden w kościele św. Anny, a drugi teraz właśnie odkryty na dziedzińcu tej samej starej Alma mater, której Kopernik niegdyś był uczniem, a która dziś dla tem większego uświetnienia swego 500 letniego jubileuszu; pomnik wielkiemu uczniowi wzniosła, ku jego i swojej i narodu chwale.

Arcybiskupi Gnieźnieńscy i Prymasi.

(Ciąg dalszy.)



70. TEODOR POTOCKI,

herbu Piława. Urodził się w r. 1664 w Moskwie w czasie niewoli ojca. Był synem Pawła wojewodzica bracławskiego i Eleonory córki Piotra Sołtykowa, ulubieńca i rówien-

nika carskiego. Ztąd też ochrzconym został przez Mikona, patryarchę moskiewskiego obrzędem cerkwi prawosławnej. Po powrocie rodziny Potockich do Polski w r. 1668, gdy ojciec Teodora umarł jako kasztelan kamieniecki, matka przeznaczyła Teodora na księdza i oddała OO. Jezuitom na wychowanie. Otrzymawszy mniejsze święcenia w katedrze krakowskiej, udał się Teodor za granicę na dalsze kształcenie i dopiero po czterech latach powrócił do Polski. Powołany na dwór, dzielił wspólne koleje z domem Sobieskich.

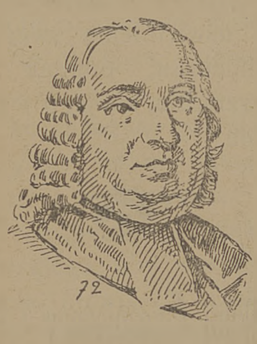
Najpierw kanonik krakowski, potem w r. 1697 Biskup chełmiński został w r. 1723 Arcybiskupem gnieźnieńskim i Prymasem. Umarł 12 listopada 1738 w Warszawie, pochowany w katedrze gnieźnieńskiej.



71. KRYSZTOF ANTONI SZEMBEK,

syn Stanisława burgrabi krakowskiego i matki Krystyny Załęskiej, urodził się roku 1667 w Szczepanowie w ziemi krakowskiej. Archidyakon pomorski i kanonik gnieźnieński, Biskup inflancki, w r. 1716 Biskup Poznański, koronował w r. 1717 d. 29 sierpnia obraz N. P. Maryi Częstochowskiej. Mianowany r. 1739 Arcybiskupem gnieźnieńskim, objął tegoż roku 12 sierpnia rządy dyecezyi. Umarł 6 lipca 1744 w Łowiczu i tam pochowany.

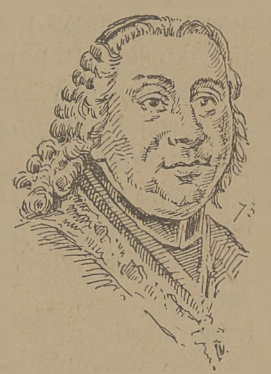
Bogobojny ten i bardzo miłosierny pasterz żył 85 lat. Cieszył się wielkiemi względami króla Augusta i cara rosyjskiego Piotra. Wysłany do niego w poselstwie, jak się zdaje po klęsce połtawskiej, wyjednał u cara uwolnienie jeńców polskich. Przemieszkiwał głównie w Łowiczu i Skierniewicach, co rok wszakże odwiedzał Gniezno.



72. ADAM KOMOROWSKI,

herbu Korczak, najstarszy z synów Jana Komorowskiego, stolnika nowogrodzkiego i Katarzyny Sulikowskiej. Najpierw kanonik, potem kanclerz, koadjutor biskupstwa kujawskiego, został Arcybiskupem gnieźnieńskim 8 lipca 1748, prekonizowany 22 września 1749, odbył wjazd do Gniezna 13 czerwca 1751. Umarł w Skierniewicach 2 marca r. 1759, pochowany w Łowiczu.

Kształcił się najpierw w Krakowie pod okiem OO. Jezuitów, potem we Wrocławiu, a na końcu w Rzymie. On to na sejmie 10 października r. 1752 wystąpił z bardzo donośnemi reformami. Żądał utrzymania kościoła i przywrócenia mu władzy sądowniczej. Dalej wnosił o powiększenie wojska i wypuszczanie starostw przez licytacyą. Od wszystkich do kraju wprowadzanych towarów żądał opłaty cła, a mianowicie 6 procent mieli płacić kupcy, a 3 procent szlachta. Pogłówne od żydów miało być zreformowane, a wreszcie wnosił Prymas o zaprowadzenie podatku na wódkę, miód i piwo. Dochody z tego podatku miały być obrócone na wojsko. Był on gorącym zwolennikiem Czartoryskich, tak zwanej „familii“, a wrogiem Radziwiłłów. Umarł na gangrenę w nodze mając lat 60.



73. WŁADYSŁAW II ŁUBIEŃSKI,

herbu Pomian, był synem Macieja łowczego sieradzkiego i Maryanny Stokowskiej. Urodził się 1 listopada 1703 r. Wychował się pod dozorem stryja Aleksandra, który go oddał do OO. Jezuitów w Kaliszu. Na dalsze kształcenie udał się do Rzymu, gdzie skończył teologią, poczem podróżował po Francyi, Belgii i Niemczech i nauczył się kilku języków.

Wróciwszy do kraju był prałatem domowym prymasa Potockiego, następnie kanonikiem gnieźnieńskim, pisarzem wielkim koronnym a w r. 1760 został Arcybiskupem gnieźnieńskim. Umarł 20 czerwca 1767 roku w Warszawie, pochowany w Łowiczu.

Był to mąż nadzwyczajnej pobożności i wsławił się dziełem, należącem dziś do rzadkości bibliograficznych pod tytułem: „Swiat we wszystkich swoich częściach większych i mniejszych, to jest w Europie, Azyi, Afryce i Ameryce, w Monarchiach, Księstwach, prowincyach, wyspach i miastach, geograficznie, chronologicznie i historycznie, określony, opisaniem religii, rządów, rewolucyi, praw, zwyczajów, skarbów, ciekawości i granic każdego kraju; z Autorów francuskich, włoskich, niemieckich i polskich zebranem przyozdobiony, przez Księdza Władysława Łubieńskiego, scholastyka krakowskiego, kanonika gnieźnieńskiego, proboszcza infułata łaskiego. 1 Tom rok MDCCXL, do druku wrocławskiej w Szlązku akademii Societatis Jesu, dla ciekawego a nie próżnującego oka polskiego podany.“

Dzieło to ma 656 stronnic prócz indeksu i sześciu kart tytułowych i jest najpierwszą geografią w języku polskim.



74. GABRYEL JAN PODOSKI,

herbu Junosza, doktor obojga praw, był synem Mikołaja wojewody płockiego i Maryi Rokitnickiej. Urodził się w r. 1721 i bez powołania, dla karyery poświęciwszy się stanowi duchownemu, jak pisze Bartoszewicz, trzymał się stale dworskiej klamki. Był najpierw guwernerem synów Augusta III, kanonikiem gnieźnieńskim, kusztoszem krakowskim w r. 1736, pisarzem wielkim koronnym. Z prałata Arcybiskup gnieźnieński w r. 1767, umarł mając dopiero 56 lat w r. 1777 i tam pochowany.

Prymas ten bardzo się źle zapisał w smutnych podówczas dziejach Polski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Miłość Ojczyzny.

Napisał
Franciszek Mąkowski.

(Ciąg dalszy.)

Masz więc, bracie i siostro kochana, miłować twoją Ojczyznę całą potęgą twej duszy i serca twego, lecz czy wiesz ty, w czem się ta miłość ma objawić i co to jest — Ojczyzna?

„A czy znasz ty, bracie młody,
Te pokrewne twoje rody?
Tych Górali i Litwinów
I Żmudź świętą i Rusinów?
  A czy znasz ty, bracie młody,
  Twoje ziemie, twoje wody?
  Z czego słyną, kędy giną,
  W jakim kraju i dunaju?
A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody?
Twe kurhany i mogiły
I twe dzieje, co się ścimiły?
  A czy wiesz ty, co w nich leży?“
Cóż więc jest Ojczyzna?

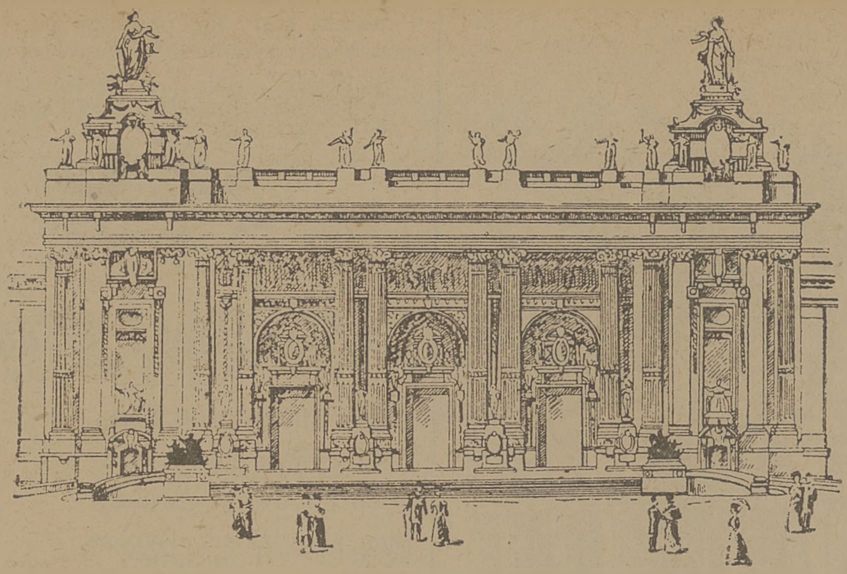
Najpierw jest to ziemia, z mułu której Bóg ulepił człowieka i to ta jej część, na której urosłeś, jaka cię żywi i przyodziewa; to ta ziemia ukochana, na której szumią sosnowe lasy nasze, a w nich roje ptactwa chwalą Stwórcę przeróżnemi tony, to ziemia, po której stąpali św. Wojciech, św. Stanisław, królewicz Kaźmierz i wszyscy patronowie ziemi polskiej, na której żyli Piastowie, Jagiellonowie, Batory, Sobieski i Kościuszko; to ta ziemia tak hojnie zlana krwią rycerzy i męczenników naszych; to ta ziemia z owemi rozlicznemi wodami: Wisłą, Niemnem, Wiliją i Wartą z prastarem Gopłem, w którem się jeszcze pogańskie kąpały bogi; to ta ziemia ze szczytami Karpat, otoczona powietrzem, w którem wedle słów poety

„drgają ojców twoich prochy“.

to jednem słowem — Ziemia polska.

Każdemu narodowi wyznaczył Bóg siedzibę.

Islandczyk przywiązany do mchów swoich, Eskimos na urodzajną przesadzony niwę, umiera z tęsknoty za swemi lodami; Góral wzdycha do chat swoich i skał urwistych.



Brama pałacu Kostiumów (Palais du Costume). (Wystawa paryzka.)

Czemużbyś i ty, ludu polski! kochać nie miał swych łanów, kłosami bujnego zboża zdobnych, swej ziemi rodzinnej, w której

„. . . . . każdy kątek
Tyle świętych ma pamiątek
Z jej zamierzchłych dni?“

A mimo to jak lekkomyślnie rzucają niektórzy strony rodzinne, by na oślep w zamorskie płynąć krainy, gdzie ich najczęściej czekają głód, nędza, choroba. Niejeden taki wychodźca dobrowolny śle wzrok tęskny ku niwom stron rodzinnych i pragnie się napić wody ze studni o skrzypiącym żórawiu, a przesycony kukurydzą, łaknie chleba z żyta polskiego. Nieszczęśliwy czuje wtedy, co porzucił i woła za późno:

„Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie,
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił!“

Mamy inny jeszcze rodzaj grzechu, jakim obarczamy nasze narodowe sumienie i to wyprzedając się z ziemi. Tak pan rozległych włości, jak posiadacz jednego zagonu *zdrajcą* jest Ojczyzny, jeżli bez koniecznej potrzeby wyprzedaje ziemię ojczystą wrogom naszym. Supiński powiada, że „tyle Polski — ile ziemi ojczystej w naszem ręku.“

Jeden zaś z największych naszych filozofów, Dr. Karol Libelt, tak pisał:

„Im mniejsza liczba posiedzicieli gruntowych, tym słabszy naród.

„Nie ma pewniejszego środka osłabienia narodu, jak wywłaszczenie posiedzicieli gruntowych i przeniesienie własności gruntowych na obcych... Gdzie się to dzieje przez niedołężność, albo chciwość krajowców, tam ich przekleństwo Ojczyzny ściga. Zdrajcy sprzedają kraj cały, chciwi lub nierządni właściciele sprzedają go po kawałku. Jedni i drudzy dopuszczają się zbrodni na swej Ojczyźnie, choć z różnym ciężarem obciążonego sumienia.“

Tak pisał filozof nasz przed kikudziesięciu laty, a wrogowie nasi urągają nam w żywe oczy, że się wkrótce z nami skończy, bo się jedni wyniosą do Niemiec i Ameryki, a drudzy wyprzedadzą ziemię. Wyryjmy sobie w pamięci słowa Ojczyzny, która słowami Libelta woła do nas:

„Syny moje, postrzeżcie się! Ta ziemia, z której się wywłaszczacie, to ciało moje. Bez niego nie będziecie mnie mieli i duch mój uleci z niego w krainę przeszłości, a w to ciało, gdy je obcy posiędą, wstąpi duch obcy i przeobrazi ją w inną Ojczyznę. Jako to jest miłość wasza do mnie, gdy wydajecie ciało moje i przyspieszacie zgon mój przez przemianę narodów?“

Strzeżmy się więc pozbywać zagród naszych obcemu; trzymajmy ten zagon ojczysty oburącz, ani piędzi zeń nie ustępując. Więcej nawet, pracą i oszczędnością zdobywajmy to, co postradali lekkomyślni, rozrzutni i ludzie bez sumienia.

Zebrane przez pracę zasoby oszczędzać trzeba, gromadzić:

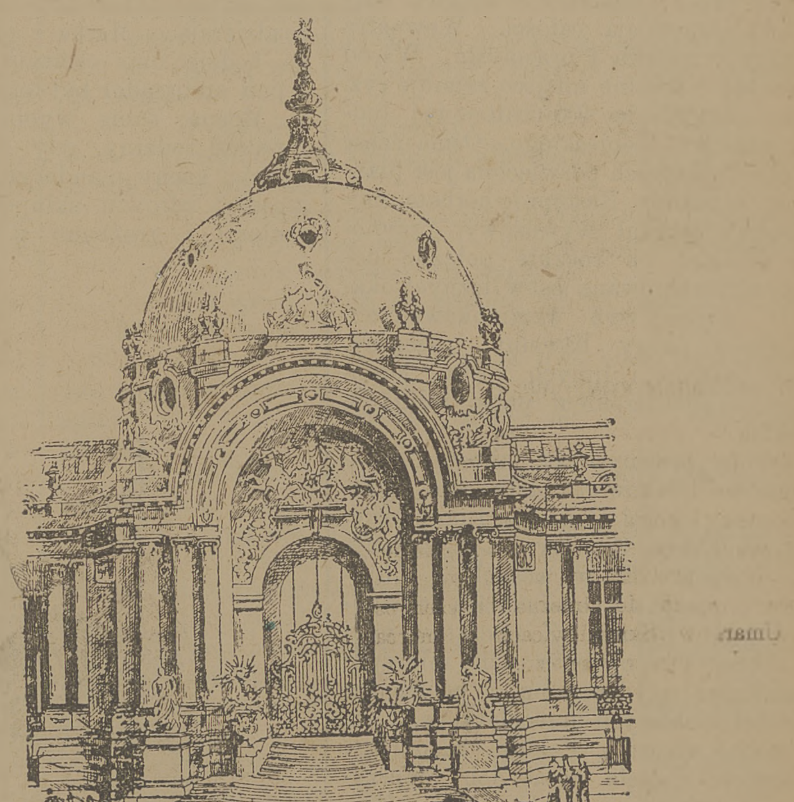
„Ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka“.

Pamiętajmy o tem, że rozrzutnością ludzie i narody upadają. Nie miłuje ten Ojczyzny, kto mienie po przodkach odziedziczone marnuje, bo przez to wydaje broń w obce ręce na swoją i narodu szkodę.

Dalszą istotą Ojczyzny naszej jest lud polski. Od upadku naszego mimo rozdmuchywanej przez Metternichów i im podobnych nienawiści, coraz się więcej ścieśniają duchowe węzły jedności narodowej. Ile razy wieść przerażająca z pod zaboru rosyjskiego dochodzi uszu naszych, tyle razy zadrga serce nasze, ile ran zadała zbydlęcona ręka Murawiewa, tyle razy odczuliśmy je tutaj. Każdemu wiadomość o Unitach podlaskich rozdzierała i rozdziera serce i zasępia czoło nasze, które dopiero na pocieszające wieści z pod austryackiego zaboru pogodą się okrywa.

Podział Ojczyzny naszej pomiędzy trzy zaborcze rządy, nie podzielił ludu, bo lud polski, to jedno nierozerwalne ciało.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Brama główna wielkiego pałacu (Grand Palais). (Wystawa paryzka).

Wystawa paryska.

Paryż, 23-go lipca.

Gdy tragiczne wypadki, rozgrywające się na dalekim Wschodzie, pochłaniają naprężoną uwagę całej Europy, tem żywsze budzi zajęcie na wystawie dział państwa Niebieskiego. O ile wiem, poraz pierwszy to Chiny uczestniczą w wielkim turnieju międzynarodowym. W roku 1889 rząd pekiński odmówił udziału, pragnąc w ten sposób zaznaczyć swój protest przeciw niedawnej podówczas interwencyi europejskiej.

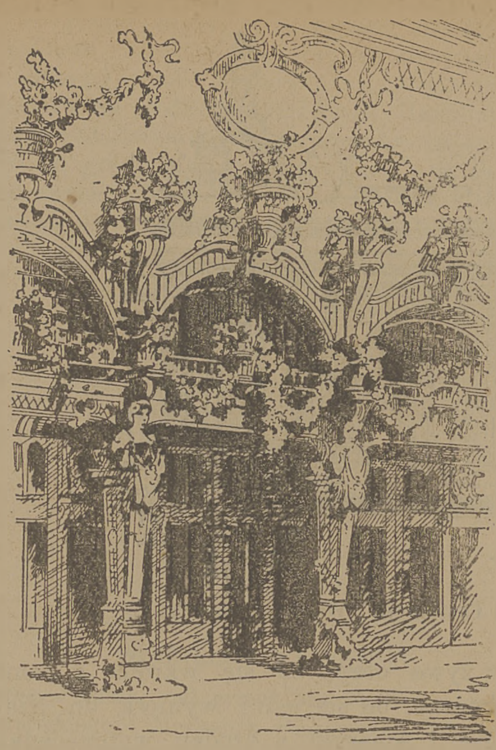
Komisarze, wydelegowani przez rząd cesarzowej-regentki, mieli do walczenia ze znacznemi trudnościami. Polecono im wystąpić wspaniale, pieniędzy natomiast dano mało. Wskutek tego budowle w projektach dumne i bogate, w rzeczywistości musiały wypaść o wiele skromniej. Główny pawilon, odtwarzający jedno z sześciu skrzydeł pałacu cesarskiego w Pekinie, powinien oprzeć się na podstawie z marmuru białego. Gdy funduszów nie starczyło, postawiono kosztowny budynek o dwóch dachach wprost na ziemi. Niemniej przeto architektura tego pawilonu, bardzo oryginalna, przenosi wyobraźnię zwiedzających do tych oddalonych stron.

Prócz owego pawilonu, istnieją w dziale chińskim jeszcze cztery inne budowle. Największa z nich, zwracająca uwagę ogromnemi rozmiarami, stanowi doskonałe odtworzenie jednej z dziewięciu bram, które dają dostęp do Pekinu po przez olbrzymie mury otaczające to miasto. Most znowu, łączący sekcyę chińską z terenem, na którym rozsiadła się Rosya azyatycka, wzorowany był na słynnych wrotach, istniejących do dziś dnia w wielkim murze chińskim, o 50 kilometrów na północ od Pekinu.

Dwa mniejsze pawilony i kilka bud, zajętych przez handlarzy o długich warkoczach, dopełniają całości. Wewnątrz produkty rolnictwa i przemysłu. Wśród pierwszych naczelne miejsce zajmuje ryż, główne pożywienie 400-milionowej ludności państwa Niebieskiego. Ósma część gruntów uprawnych poświęcona jest plantacyom tej rośliny. Następnie herbata, najważniejszy artykuł wywozowy, przynoszący Chinom rok rocznie potężne dochody, reprezentowana jest w licznych okazach. Prócz wyż wzmiankowanych, znajdujemy okazy bawełny, pszenicy, sorgha, patatów i innych roślin, hodowanych z powodzeniem przez rolników chińskich.

Wyroby przemysłowe, jako to: meble bambusowe i lakowane, dziwaczne figurki z bronzu, kości słoniowej i porcelany, maty, wachlarze, tkaniny i t. d., zajmują wiele miejsca. Kilku kosookich Chińczyków popisuje się zadziwiającą zręcznością w pracy ręcznej. Z początku było ich więcej i spojrzenia ich mierzyły z nietajonem szyderstwem i poczuciem wyższości ciekawych przechodniów. Lecz gdy wobec wieści z Pekinu, niedzielna publiczność zaczęła witać ich nieprzychylnemi manifestacyami, liczba żółtawych rękodzielników zmniejszyła się, a zachowanie pozostałych stało się uprzejme i nieśmiałe.

Ambasador chiński, zaledwie od pół roku zamieszkały w Paryżu — kiedy



Brama małego pałacu (Petit Palais).

przyszły pierwsze telegramy, z których należało się spodziewać wymordowania wszystkich Europejczyków w Pekinie — został natychmiast wezwany do p. Delcassè'go, ministra spraw zagranicznych. Otoczenie szlachetnego mandaryna zrozumiało, iż p. Delcassé, szukając odwetu, w najlepszym razie każe przedstawicielowi rządu chińskiego rozpruć sobie brzuch; dwie córki, młode panienki, których oryginalna uroda zwracała ogólną uwagę podczas tegorocznych przyjęć dyplomatycznych, obawiały się dla ojca mąk nierównie srożej wyrafinowanych. Zaklinały go, by się ukrył, by w ucieczce szukał ratunku. Naprożno! Ambasador, szanując swą godność i obowiązki, nie dał się przekonać. Pożegnanie było rozdzierające. Matka i córki nie wątpiły, że będzie ono ostatnie; zdaje się, że i pan ambasador był tego samego zdania.

Można sobie wyobrazić zdumienie i radość rodziny, gdy w kilka godzin później zacny mandaryn powrócił w najlepszem zdrowiu, sklopotany trochę wyrzutami i groźbami p. Delcassè'go, ale bez śladu jakichkolwiek tortur fizycznych. Panienki stały się podobno od tej chwili żarliwemi zwolenniczkami cywilizacyi rasy białej.

Specyalny.

Marysia i Kasia.

Ładną Marysia nie była,
Lecz zwijała się od rana,
Drób i krówki obrządziła,
Sień piaseczkiem usypana.

Gdzie się ruszy, to aż miło:
Czystość, ład widać wokoło;
Gdy innej pracy nie było,
Szyła, śpiewając wesoło.

Kasia — sąsiadki córeczka;
Śliczna, lecz próżniak, leniwa,
Niedbała — jak żydóweczka;
Do tego bardzo kłótliwa.

Z kąta w kąt tylko się słania,
Z matką, braćmi wciąż się swarzy,
I choć dziewczyna jak łania,
Zamąż się jej iść nie darzy...

Do Marysi kmieć bogaty,
Chociaż mieszkał niezbyt blisko,
Na jesieni przysłał swaty,
Huczne było weselisko!

A Kasieńka, choć ma wiano,
Choć do chłopców wciąż się śmieje
Swatów patrząc wieczór rano —
Dotąd jeszcze rutkę sieje.

Józef W.



Brama główna wystawy na placu Zgody na polach Elizejskich.

CZĘŚĆ TRZECIA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

Emigrant i wygnaniec.

Nie sama krew w obronie ojczyzny przelana jest wodą oczyszczającą owego „chrztu krwawego“, przez który jak już powiedzieliśmy, przechodzić musi i od tak dawna przechodzi każde nowe pokolenie w naszej ojczyźnie, są inne jeszcze ceremonie, które nieodłącznie należą do tego powszechnego u narodów pognębionych obrządku.

Kto nie padł na polu walki, albo kogo bądź sztuka bądź naturalna żywotność organizmu ocaliła od bezpośredniego złożenia we wspólnym grobie, ten jeszcze nie uniknął dwóch innych grobów, które wciąż są otwarte i ciągle czyhają na niego.

Grobami temi są z jednej strony tułactwo, z drugiej wygnanie.

Które z tego dwojga straszniejsze, powiedzieć trudno, jest też w tem poniekąd tylko położenia geograficznego różnica.

Wygnańca na wschód pędzą, a tułacz uchodzi na zachód, — obaj jednako oderwani od pnia, z którym się zrośli, od gleby, która ich wykarmiła, od źródła, zkąd czerpali soki życiowe, obaj skazani na życie sztuczne, na aklimatyzowanie się w innym obyczaju, na przywykanie do innego słońca, do innego powietrza, do innych ludzi i innych stosunków.

I niech nikt nie mówi, że jeden w korzystniejszem od drugiego jest położeniu, bo idzie w świat jakoby dobrowolnie, gdy drugiego pędzą przemocą! Jeden i drugi nie poszliby z pewnością, gdyby im wolno było niepójść, jednego i drugiego wyrzuca z kraju ta sama przemoc, tylko nie pod tą samą postacią.

I niech nikt także nie mówi, że wygnaniec syberyjski skazany jest na ciężką pracę, gdy emigrant za granicą, mając jej wybór dowolny, może sobie życie osłodzić i ułatwić. Wiemy od wielu wygnańców syberyjskich, że tam, w ziemi lodów i dziewięciomiesięcznej zimy używali względnej swobody, żyli dość wygodnie i dostatnio, gdy tymczasem widzieliśmy na własne oczy tułaczów, którzy przechodzili męczarnie głodu i którym niedostek dni wygnania przemieniał w powolne konanie.

Jedyną różnicą jakaby zachodzić mogła między położeniem jednych i drugich jest różnica otoczenia. Skazańcy syberyjscy znajdują się między zbrodniarzami i niewolnikami i sami są uważani za zbrodniarzy i niewolników — tułacz żyje między ludźmi wolnymi i może się mieć za wolnego. Ale czy jest wolnym w istocie, to inne pytanie. W najbliższych nawet krajach są wyjątkowe prawa dla przybyszów a pełni praw obywatelskich używają tylko miejscowi obywatele. Dla tułacza ta wolność, którą otoczonym się widzi, jest więc tylko owocem pożądania, tem ponętniejszym, że go ma prawie pod ręką, a przecież dosiądz go nie można. Stanowisko emigranta jest wszędzie i zawsze nienormalnem, zależnem mniej lub więcej od kaprysu, od wiatru wiejącego w sferach politycznych, jutro jego nigdzie nie pewne, a dzisiaj wszystko zatrute, bo na każdy kęs chleba, który on spożywa patrzą zawistni jak na strawę od ich ust odjętą, bo w nim widzą niechętni nieuprawnionego współzawodnika, intruza, który przyszedł niewiedzieć zkąd, aby im zabierać miejsce w wielkiej pracowni życia, ażeby z nimi toczyć darwinowską walkę o byt.

Nie ma więc istotnej różnicy między jednem i drugiem, chyba ta jedynie, że na Syberyi, pośród półdzikich, zbliżonych do stanu natury plemion, tułacz wyższy oświatą, wyższy świętą ideą za którą cierpi, staje się mimowiednie pionierem cywilizacyi, ogniskiem szerzącem światło, źródłem uszlachetnienia, pracownikiem podnoszącym umysłowy poziom ogólny, gdy tymczasem tam, na zachodzie, w krajach oświeconych dalej w cywilizacyi posuniętych, tułacz olśniony pierwszem swej wyższości wrażeniem, oducza się częstokroć kochać to, co porzucił, zapomina o swej ojczyźnie, zaraża się prądem kosmo-polityzmu i w pracy na chleb powszedni zatraca poczucie wyższych potrzeb duchowych, zatraca ideę w imię której swój ojczysty zagon opuścił, staje się przeszczepkiem na obcy grunt niepożytecznym jeszcze dla obcych a już na nic nieprzydatnym dla swoich.

I jeżeli jest inna jeszcze różnica, to znów w tem chyba, że tułacz daleko więcej niż wygnaniec narażonym jest na pokusę pójścia w służbę jakiejś idei napozór z jego ideą narodową pokrewnej, tak, że w końcu zmieniając jedna po drugiej chorągwie i liberye, zatraca się dla narodu swojego.

Wszystko to są rzeczy wiadome i znane, nie rozwodźmy się więc dłużej nad niemi, lecz wróćmy do przerwanego wątku naszej powieści.

Rozpoczyna się on na nowo w chwili, gdy już ostatnie szczątki powstańczych oddziałów wytropione zostały w lasach, gdy ostatnich dowódców rozstrzelano lub wyparto za granicę, jeśli na polu walki nie polegli. Sporo więc czasu, rok przeszło upłynął od opisanych w poprzedniej części naszego opowiadania wypadków.

Ażeby przecież nawiązać nić naszego opowiadania musimy streścić tutaj niektóre wypadki zaszłe między jedną a drugą epoką.

W nocy tegoż samego dnia kiedy oddział pana Bartłomieja przekroczył granicę i został rozbrojonym, przekradał się przez tę granicę, człowiek młody i bardzo osłabiony.

Rękę miał obandażowaną na prędce. Z warg jego zbladłych krew ustąpiła, bladość napół śmiertelna powlekała jego policzki, z oczu tylko nieprzygasłych wcale tryskała gorączkowa energia.

Czytelnik z łatwością się domyśli, że był to wnuk karczmarza z Rozdroża, Józef.

Kiedy go wieziono na wozie z innymi rannymi, korzystając ze znajomości niemieckiego języka wdał się w rozmowę z jednym z konwojujących żołnierzy.

— Co z nami będzie? — spytał.

— Eh! nic strasznego — odpowiedział pocieszająco żołnierz.

— Zawiozą nas do miasta, spiszą i puszczą?

— Oh! tak znowu mało, to nic.

— Więc cóż zrobią?

— Będą internowali.

Józef nie rozumiał dobrze znaczenia tego wyrazu.

— Osadzą was w twierdzy, żeby który do powstania nie wrócił.

-- W jakiejże to twierdzy?

— Najprędzej w Czechach albo na Morawie, w Ołomuńcu lub Königsgrätzu.

— A będziemy mogli znieść się przed tem z rodzicami?

— Nie wiem, lecz wątpię... chyba dopiero z miejsca.

— A kiedyż będziemy na miejscu?

— Nie wiem, może za tydzień lub za dwa.

Józef się zamyślił.

— Tydzień... dwa... więc przez dwa albo trzy tygodnie ona będzie w niepewności o jego losie, będzie sądziła, że on zginął, nie będzie wiedziała, gdzie on jest!... Ależ to ją zabije...

Czytelnikowi już wiadomo, kogo tu wnuk Mortka oznaczał zaimkami „ona“ i „on.“

Nie wahał się długo i po chwili powziął postanowienie.

— Panie żołnierzu — rzekł do jadącego przy bryczce konno austryackiego kawalerzysty.

— A co tam?...

— Panu jakoś dobrze z oczów patrzy... pan musisz być poczciwy człowiek.

— At, zwyczajnie jak człowiek, ani lepszy, ani gorszy jak drudzy.

— Wie pan co, ja tu mam przy sobie piętnaście rubli.

— Cieszy mnie to... przydadzą się w fortecy... nie będziesz musiał poprzestawać na samym komisbrodzie.

— Weź pan sobie te pieniądze.

— Po co?

— Ja chcę... — zająkał się Józef — widzisz pan ja muszę, ja koniecznie muszę...

— Co muszę?...

— Uciec... ja nie mogę być internowany.

— A to mi się podoba! — rozśmiał się żołnierz — chce uciekać i opowiada mi się!... Ależ ja ci powiadam, kochanku, że choćbyś miał najzdrowsze wszystkie nogi i ręce, to nie uciekniesz póki ja patrzę, a cóż dopiero ranny! Gdybym ja nie widział, to co innego...

— To też ja nie myślę uciekać jak pan będziesz patrzył, proszę pana tylko, żebyś pan...

— Żebym co?

— Żebyś pan wziął te piętnaście rubli.

— *Noch einmal diese fünfzehn Rubel!* — wzruszył ramionami kawalerzysta — po cóż ja mam je brać?...

— Żeby mi nie ciężyły w drodze.

— *So ist es!* — pomruknął żołnierz — ależ to jabym tobie ułatwił ucieczkę, *mein liebster*, a mnie tego zrobić nie wolno. Jeżeli nie udźwigniesz swoich pieniędzy, to tem pewniejszy jestem, że nie uciekniesz, a gdybyś uciekł z niemi to mi nikt nie zarzuci, żem ci dopomógł. Ale nie mam czasu dłużej tu gadać z tobą. *Schlaf wohl Kamrat. Ich reite weiter, aber du darfst nicht fliehen, es ist streng verboten, verstehst du?*

Spiął konia ostrogą i pojechał naprzód.

Miejsce było do ucieczki dogodne. Józef nie namyślał się długo, zeskoczył z bryczki i skrył się w krzaku.

Karawana pociągnęła — nikt go nie spostrzegł.

Po chwili był już w drodze napowrót.

Idąc myślał:

— Czemu ten żołnierz nie chciał odemnie wziąć pieniędzy... Moskal nie zrobiłby nigdy nic podobnego bez łapówki. Ten się narażał darmo... Szlachetny człowiek!

Żołnierzysko w istocie był poczciwym człowiekiem, że rannego z rubli nie obrał, bo mógłby je był wziąć i niktby o tem nigdy nie wiedział, ale Józef przeceniał oddaną sobie przysługę sądząc, że tym sposobem ten, który mu ułatwił ucieczkę, narażał się na odpowiedzialność. Była to chwila, w której na takie rzeczy patrzano przez szpary. Rozbrajano insurgentów, bo tak wypadało, internowano ich, bo tak wypadało także, ale gdy który mniejszego znaczenia uciekł w drodze, albo z fortecy, to sobie nad tem wcale nie łamano głowy. Uciekł, to i uciekł, potrzeba będzie karmić komisbrodem jednego mniej i mniej papierowych dziesięciocentówek na żołd dla internowanego wydawać.

To też nietrudno było Józefowi dotrzeć do granicy i nietrudno przemknąć się przez nią.

Nietrudno ale tylko ze względu na brak przeszkód stawianych z zewnątrz, nietrudno ale tylko dla tego, że mu nikt drogi nie zastępował.

To co mu utrudniało pochód znajdowało się w nim samym i pozbyć się tego nie mógł. Była to rana. Chociaż opatrzona sprawiała mu ona szalony ból. Panował nad nim siłą woli, postanowił bądź co bądź dopiąć celu, ale od czasu do czasu natura brała górę nad energią, słabł chwilowo, z piersi jego wydobywał się jęk stłumiony, a na ustach mimowolnie pojawiało się półgłosem wyszeptane pytanie:

— Mój Boże! czy ja tak zajdę?...

Niczego już więcej w życiu nie pragnął, tylko zajść tam gdzie chciał.

Ażeby zajść potrzeba było nietylko iść, potrzeba było nieraz zbaczać, nakładać drogi, żeby nie wpaść w oczy niepotrzebnie takim, którzyby mogli mu powiedzieć:

— Nie pójdziesz dalej!

Niektóre szkoły filozoficzne zaprzeczają człowiekowi woli wolnej, tymczasem faktem jest, że w takich okolicznościach, w jakich się znajdował wnuk Mortka, silna wola nawet naturę przezwycięża.

Ten słaby, wątły, osłabiony upływem krwi, prawie umierający chłopiec, dokonywał tej nocy herkulicznego dzieła, jedynie dlatego, że tego chciał. Filozofowie owych szkół mogą nam odpowiedzieć, że chciał tego, bo nie mógł nie chcieć, bo to była konieczność, która z natury jego położenia wypływała. Był ranny w rękę więc cierpiał, ale zarazem kochał i miłość jego była silniejszą niż uczucie bolu, dlatego szedł. Może to jest objaśnienie wystarczające, chociaż nas niezupełnie zaspokaja, bo zdaje nam się, że gdyby uczucie miłości było tylko organicznym, fizjologicznym popędem, toby musiało słabnąć pod wpływem każdej przyczyny, która na ten organizm działa zabójczo, która go rozstraja i na pierwiastki rozkłada, gdy w Józefie uczucie to potęgowało się właśnie, aż do zapanowania nad tą siłą, która rozkładała i niszczyła jego organizm — ale nie myślimy wchodzić tutaj w polemikę z filozofami, konstatujemy tylko fakt, że wysilenia, jakie czynił Józef, ażeby dopiąć swego zamiaru, były ze względu na stan jego rany, — nie wahamy się użyć tego wyrażenia — prawie nadludzkie.

Gdyby w linią prostą rozwinąć drogę, którą przebył tej nocy i gdyby ją na wiorstę lub kilometry wymierzyć, niktby nie uwierzył w wypadłą cyfrę.

I zdawało mu się już, że zamiaru swego nie dopnie. Upadał prawie z wycieńczenia, ale nie chciał spocząć na chwilę.

— Jeżeli spocznę, umrę — mówił do siebie — a jeśli umrę wszystko stracone.... W takim razie poślij do niej anioła z tą wiadomością, z którą mnie posyłasz... Ale wytrwam do końca... Choćbym wiedział, że już kilka kroków tylko ujść mogę... ujdę je.

I szedł. Szedł aż do ranka. Rano ujrzał na skraju widnokręgu wieżę gradowieckiego kościoła, i widok jej dodał mu nowych sił.

Wiadomo, że wola pod wpływem świadomości o prawdopodobieństwie dopięcia celu potężnieje niesłychanie. Objaw ten powtórzył się na Józefie. Przed chwilą sądził, że już wydobywa ostatek sił, teraz wstąpiła w niego otucha i przekonanie, że gdyby tyle jeszcze trudu było do zwalczenia, ile już zwalczył, jeszcze by i ten trud pokonał.

Wyprostował się, szedł rzeźwo, śmiało, szybko, z pospiechem gorączkowym, chorobliwym.

Był już pod miasteczkiem, gdy w znacznej za sobą odległości, usłyszał za sobą tentent konia. Zmysły jego w tym chorobliwym stanie nabrały nadzwyczajnej delikatności, obejrzał się i ujrzał galopującego jeźdźca.

— Kozak zapewne — rzekł do siebie..

Wypadało się ukryć, nie myślał jednak schodzić z drogi.

Wprzód będę na miejscu, nim mnie dogoni, a co się potem stanie, mniejsza mi o to.

Zawiodły go wyrachowania, jeździec zbliżał się coraz bardziej, ale zarazem uspokoił się, że niema niebezpieczeństwa. Jeźdźcem nie był żaden żołdak moskiewski, mógł już rozpoznać, że to pocztylion wiozący sztafetę.

Koń przebiegł koło niego w szybkim galopie już w samem miasteczku.

— Sztafeta do niej! co to?... — zaniepokoił się biedny ranny i ostatniem wysileniem kroku przyspieszył.

Konstancya była w domu i drżącą ręką otworzyła przywiezione pismo.

Była to depesza od jej dziadka, a stały w niej słowa okropne:

„Czuję, że umrę wkrótce... jestem słaby bardzo... błogosławię wam, dzieci moje... gdyby czasu jeszcze starczyło prosiłbym, żebyś przyjechała, Kostusiu... łżejbym umierał..."

Wnuczka rotmistrza nie zdążyła jeszcze zdać sobie sprawy z bolesnego wrażenia, gdy Józef ukazał się na progu.

Wyglądał strasznie, chwiejący się, blady, umierający. A jednak z oczu jego świeciło szczęście i na ustach jego błąkał się uśmiech nieopisanej błogości i spokoju.

— Pan Józef!... Boże! pan raniony! — zawołała Konstancya biegnąc do niego i biorąc go rękami za ręce.

Ręce te były sztywne i zimne, aż mróz przeszedł serce kobiety.

— To nic... lekko... — szeptał wnuk Mortka gasnącym głosem, — mąż pani...

— Zabity?...

— Żyje... raniony... niezbyt ciężko...

— Gdzież jest?...

— W niewoli...

— U Moskali?...

— Nie... w austryackiej... Żegnam cię, pani...

Z tem słowem Józef bezwładnie usunął się do nóg Konstancyi.

Schyliła się, aby go podnieść, ale dusza szlachetnego młodzieńca stała już przed Bogiem jego ojców, przed Bogiem Abrahama, Izaaka i Jakóba.

II.

Jeden z lepszych, niedawno zmarłych powieściopisarzy i dramaturgów powiedział kiedyś, że niczem są trudności powieści w porównaniu z trudnościami dramatu. W powieści — są jego słowa — można doprowadzić do katastrofy, w której Amalia mdleje, i potem pisać o czem innem kilka rozdziałów, a następnie zacząć od przypomnienia czytelnikowi, żeśmy Amalię pozostawili omdlałą. W dramacie tego zrobić

nie można, tam bezpośrednie konsekwencye każdego wypadku natychmiast po nim następować muszą.

Przekonywamy się w tej chwili, że ta różnica pomiędzy powieścią i dramatem, napozór tak trafnie upatrzona, nietylko w rzeczywistości nie istnieje, ale że nawet łatwiejszem może byłoby nasze zadanie, gdybyśmy dramat, a nie powieść kreślili. Zapuścilibyśmy zasłonę na ostatnią scenę poprzedniego aktu, a że dalszy przebieg naszej powieści dzieje się znacznie później, jak to już powiedzieliśmy, więc widz dramatu dowiedziałby się tylko z jakiego opowiadania innej osoby, że Konstancya jeździła nie do męża, ale do dziadka.

W powieści przecież uczynić tego nie możemy. W powieści niepodobna zapuścić zasłony, zostawiając Konstancyę prawie bezprzytomną nad zwłokami Józefa, wzywaną przez dwa równie święte obowiązki w dwie przeciwne strony świata, w powieści trzeba wykazać koniecznie, dlaczego ona tak postąpiła, a nie inaczej, dla czego wbrew słowom Pisma: „i przyłączy się do ciała", wbrew przysiędze złożonej przed ołtarzem, „a iż cię nie opuszczę aż do śmierci", wbrew silniejszemu może z dwóch pociągów swoich wewnętrznych, pomimo prawdopodobieństwa, że umierającego dziadka już nie zastanie na tej ziemi, pomimo innego prawdopodobieństwa, że rannego męża może także utracić, pomimo nieskończenie większych trudów, połączonych z podróżą, pojechała nie do Galicyi, gdzie był jej mąż, lecz do jakiegoś Werchnieszowogoroda czy Niżniemałopetrozawodska, w którym na wygnaniu przebywał rotmistrz. Możnaby uzasadnienie tego jej postępku odwlec o kilka rozdziałów, zawsze przecież uzasadnić go trzeba, więc najlepiej będzie jeśli to od razu zrobimy.

Konstancya wszystkie względy, jakie na jej wybór wpłynąć powinny, rozstrzygnęła nie rozumowaniem, ale uczuciem. Nawet sama przed sobą nie umiałaby może wytłumaczyć dlaczego, ale czuła, że tak zrobić była powinna, my więc za nią musimy motywy jej postępowania w głębi jej duszy odszukać. Dla niej dwa obowiązki, które ją powoływały, jeden w jednę, drugi w drugą stronę, były równie święte, i sądziłaby, że bluźni im obydwom, gdyby je miała ważyć i dorównywać. Za którym z nich iść należało, mówił jej jakiś głos wewnętrzny, taki sam prawie jak głos instynktu, który każe zamknąć oczy lub ręką się zasłonić przed zagrażającym nam ciosem.

— Trzeba jechać do dziadka... trzeba jechać — to były pierwsze słowa, które się z ust jej wydobyły, gdy spostrzegła, że Józef nie potrzebuje już opieki i starań ludzkich.

Tego postanowienia nie zmieniła aż do końca, lubo zaraz w chwilę potem wydarło się z jej ust bolesne, rozpaczliwe:

— A Stanisław?!

Nie straciła chwili czasu na rozmyślanie. Rwało się jej serce w dwie strony, ale wszystkie jej przygotowania do podróży miały tylko jeden kierunek. Na tłoczące się do jej głowy myśli, że powinna jechać do męża, odpowiadała gorączkowo, niecierpliwie, półgłosem, jakby chciała tamten ledwie dosłyszalny zagłuszyć:

— Nie! Nie!... trzeba jechać do dziadka!... do dziadka!...

I rzeczywiście, zdaje nam się, że każdy człowiek z sercem przyzna, iż trafnie pojęła swój obowiązek.

Dziadek był jej wszystkiem. Jemu winna była wychowanie, wykształcenie swej duszy, jemu zawdzięczała majątek, i z jego ręki otrzymała męża. Gdyby nie on, gdyby nie jego święta, a tak zgodna z jej własnem pragnieniem wola, nie miałaby ona teraz żadnego prawa spieszyć z ratunkiem i pociechą temu, którego kochała. On jej dał prawo nazywania tego wybrańca swoim, dzielenia jego radości, jego niebezpieczeństw, trudów i powodzeń. Dał jej to prawo nieproszony i niepytany, zgadł jej myśli, odczytał jej duszy tajniki, odkrył w nich prawdę i tę prawdę w rzeczywistość zamienił. Wszystkich zatem należało poświęcić dla męża, tylko nie jego.

Dziadek umierał, mąż był ranny i może umierał także. Obaj oni, gdyby się ich spytać mogła Konstancya, posłaliby ją w różnych kierunkach. Znała ich obu pod tym względem. Mąż powiedziałby:

— Powinnaś zamknąć powieki konającemu dziadkowi.

A dziadek powiedziałby:

— Miejsce twoje przy łożu umierającego męża.

Wola ich obu była dla niej zarówno święta, ale żeby była wprost przeciwną, więc decyzya należeć mogła tylko do niej samej. Rozsądni ludzie z dwojga złego wybierają gorsze, szlachetne dusze z dwóch równie koniecznych poświęceń wybierać winne boleśniejsze.

A które tutaj było boleśniejszem?

Konstancya kochała dziadka miłością córki, a męża miłością żony, znała więc oba te rodzaje miłości i wiedziała o tem, że druga żywsze, słodsze daje rozkosze, potrzeba było zatem tę poświęcić. Kazało tak, powtarzamy, nie rozumowanie, ale uczucie.

Rozumowanie może powiedziałoby inaczej.

Sztafeta od dziadka szła półtora tygodnia, a trzy tygodnie najmniej trzeba było jechać, ażeby się dostać do niego. Jeżeli był w niebezpieczeństwie, wysyłając depeszę, to po miesiącu, czyli w chwili kiedy przybyć mogła Konstancya albo już zamknął na wygnaniu powieki, albo wyszedł z niebezpieczeństwa. W każdym razie trzy dni lub tygodnie nawet zwłoki w takiej podróży nie znaczyło tak wiele, a przez te dni kilka lub przez tydzień można było dostać się do Stanisława i przekonać się o jego stanie. Dlaczegóż więc z tych kilku dni nie skorzystać? Wszakże samo przygotowanie do podróży w tak odległe strony, a właściwie samo uzyskanie paszportu, bez którego w państwie moskiewskiem i w takich czasach ruszyć się nie było podobna, zabrać mogło te dni kilka.

Byłoby to jednakże rozumowanie egoizmu, rozumowanie wsparte chęcią uczynienia tak, a nie inaczej, bez względu na to, że gdyby tak postąpiła Konstancya, to już zapewne zamknęłaby sobie drogę do spełnienia drugiego obowiązku, o którym instynkt uczucia mówił jej, że pominiętym być nie może. Miałażby siłę oderwać się od rannego męża, gdyby się raz znalazła przy jego łożu? Miałażby siłę, wiedząc, że ma w dwóch stronach świata dwóch ludzi ukochanych równą, choć niejednakową miłością, rzucić jednego a spieszyć do drugiego, wiedząc, że przez tygodnie całe będzie w podróży, daleko od nich obu? Nie, takiej siły przypuszczać nie mogła ani ona sama w sobie, ani nikt w niej. Nie wchodziła więc z sobą, w żadne targi podstępu, pełniła obowiązek jak umiała, nie pytając, czy z jej serca przez to, że go wypełni, upłynie więcej lub mniej krwi.

I jeszcze jeden powód, który juryści nazwaliby formalnym tylko, przemawiał za jej postanowieniem. Od dziadka było wyraźne życzenie, żeby przyjeżdżała, o mężu była tylko wiadomość. Woli swojej on nie objawił i trzeba było spełnić która objawioną została, nie podstawiając innej własnym domysłem, któremu dosyć cugli popuścić, żeby wszelki obowiązek zniweczył.

Takie były w duszy Konstancyi motywy jej postąpienia, motywy, które czuła tylko, i które mimo niej nadawały kierunek jej woli.

Przedsięwzięła jechać do dziadka.

A niełatwe to było w owe czasy i w jej położeniu przedsięwzięcie.

Zaraz nazajutrz po wyparciu oddziału pana Bartłomieja do Galicyi, rozsrożyła się represya moskiewska w sposób najgwałtowniejszy. Natychmiast po otrzymaniu wiadomości o tym fakcie, jenerał-gubernator podpisał rozkaz ściągnienia kontrybucyi od wszystkich polskich mieszkańców całej gubernii. Nie zapłaciwszy tej kontrybucyi, nie można było uzyskać paszportu, a zapłacić jej dobrowolnie nie było można, gdyż sprzeciwiał się temu wyraźny rozkaz Rządu Narodowego, którego Konstancya nie ważyłaby się przełamać. Należało owszem wszelki możebny opór stawić jej przymusowemu ściąganiu.

Nie dosyć na tem. Jak tylko rozeszła się wieść, że w okolicy nie ma powstańców, i że nie wrócą, bo są przez rząd sąsiedni rozbrojeni i zamknięci, Iwany Iwanowicze podnieśli zaraz głowy do góry. Zaczęły się śledztwa i poszukiwania, najzawzięciej prowadzone u tych, od których można było jakąś łapówkę wycisnąć. Konstancya wiedziała, że będzie na nie narażoną podwójnie. Męża jej nie było, więc będą pytali o niego — w domu jej umarł ranny powstaniec, więc będzie pociąganą do odpowiedzialności, dlaczego mu umrzeć u siebie pozwoliła, a do tego przyłączy się śledztwo z powodu dawniejszych wypadków, z powodu owej pierwszej nocy gradowieckiej, śledztwo, którego podczas walki z powstańcami władze moskiewskie prowadzić nie miały czasu.

Tyle trudności żelaznym pierścieniem otaczało Konstancyę, gdyż z każdą z nich wiązała się niemożność wyjazdu. Chcieć się z nich wywikłać byłoby to poddać się im, nie pozostawało nic innego tylko bohaterskiem wysileniem je przełamać.

I to przeczuła Konstancya i na to bohaterskie wysilenie znalazło się w niej dosyć siły.

Kiedy wieczorem tegoż samego dnia wkroczył do Gradowiec znany nam z pierwszej części tej powieści sowietnik

Paweł Onufryjewicz von Pfeiler, ażeby przy pomocy kompanii sołdatów ściągać kontrybucye z miasteczka, Konstancyi nie było już w miasteczku.

Pojęła, że niepodobna czekać, i uprzedziła mające się nagromadzić nieprzełamane przeszkody.

Korzystając z ostatniej wolnej chwili wyjechała do Łaszczyniec, do pana markiza de Ketteler.

Pan markiz był właśnie pod wrażeniem świeżo otrzymanej wiadomości o stanowczem zwycięztwie odniesionem nad powstańcami. Zamknął się więc w swoim gabinecie i cieszył się. Należy to wyraźnie powiedzieć na jego korzyść, że nie miał odwagi cieszyć się jawnie. Była to zresztą pierwsza jego radość od dosyć długiego czasu, bo od chwili zmartwienia, którego mało nie przepłacił chorobą na wiadomość, że jego syn jedyny dostał się do powstańców i brał udział w walce przeciw istniejącemu porządkowi, spotykały pana markiza same troski, kłopoty i niepokoje. Musiał jak Temis starożytna z zawiązanemi oczyma trzymać szale sprawiedliwości swojej w swych rękach i baczyć z jak największą uwagą, żeby się która z nich nie przeważyła niepotrzebnie. Musiał postępować tak, żeby tylko nie zadrzeć ani z powstańcami, ani z rządem, a jedni i drudzy naprzemiany odwiedzali Łaszczyńce i gotowi byli się urazić o okazywaną im gościnność. To też wskutek tych kłopotów w inwentarzu włosów zdobiących czaszkę pana markiza okazał się znaczny ubytek. Niełatwa to rzecz na dwóch ramionach nosić płaszcz!

Teraz po porażce powstańców mniej duszno się zrobiło panu markizowi w jego pałacu. Jako statysta ze stanowiska marszałkowskiego znający siły żywotne powiatu, nie przypuszczał pan markiz, żeby się w nim pojawili nowi, obawiał się tylko tych zuzüglerów z Galicyi, którzy, pomimo że się tak często dawali wyławiać nim do granicy doszli, zawsze jednak grozili, że lada dzień wtargną, a wtedy bieda będzie z Moskalem. No, ale to było niebezpieczeństwo odleglejsze, można było przez chwilę odetchnąć swobodniej i z tego p. markiz cieszył się w swoim gabinecie.

Na pogodnem niebie jego radości miała się jednak wkrótce ukazać chmurka. Zaanonsowano przyjazd pani Wydrzyny i zasępiło się jego marszałkowskie oblicze. Nie lubił on nazwiska męża Konstancyi, raz dlatego, że przypominało mu ono „mezelians“, dzięki dziwactwu starego rotmistrza popełniony przez niego, a powtóre dlatego, że brzmieniem przypominało słowo „wydrzeć“ i stawało się powodem jakiegoś niepokoju w sumieniu pana markiza, bo usłyszawszy je najczęściej półgłosem powtarzał:

— Wydrzeć!... wydrzeć!... przecież ja trzymam się ściśle w granicach prawa i nic nikomu wydrzeć nie myślę...

Kazał prosić Konstancyę do salonu i wyszedł z gabinetu do niej.

— Cóż sprowadza panią dobrodziejkę, — zawołał wchodząc — cóż sprowadza?... zaprawdę dziwić się można i zaciekawić... taka niespodziewana i tak rzadka wizyta...

— Nieszczęście mnie sprowadza, panie markizie... mąż mój...

— Wiem... wiem .. — przerwał pan Ketteler — wyparty zagranicę z oddziałem. To smutnie. Ale ja zawsze mówiłem, że niepotrzebnie się w to mięszał... Wojna należy do żołnierzy z powołania, nie do...

Ukąsił się w język i zamilkł. Podejrzewamy go mocno, że chciał powiedzieć:

— Nie do garbarzy!

— Wojna należy do każdego, kto ma w sercu miłość Ojczyzny — odpowiedziała Konstancya — wszakże i syn pański.

Markiz obejrzał się niespokojnie. -- —

— Psst! pani — rzekł — w obecnem położeniu lepiej o tem nie mówić...

— Więc nie mówmy... dziadek mój...

Markiz nadstawił ucha ciekawie.

— Rotmistrz!... cóż rotmistrz?...

— Przysłał sztafetę... umierający...

Pan Ketteler jakiegoś dziwnego, ale niezbyt nieprzyjemnego doznał uczucia.

— Ha! to smutne, bardzo smutne — rzekł — ale... cóż ja na to poradzę? — dodał po chwili.

— Ja potrzebuję wyjechać.

— Dokąd, pani? do męża?

— Nie... do dziadka.

— Ależ to szaleństwo...

— Może, ale to obowiązek...

— Ha! jeżeli tak pani uważasz, to jedź pani... przykro mi wyznać, ale widzę, że i w tym względzie moja pomoc na nic się nie zda.

— Owszem, ja właśnie tylko na pana liczę...

— W czem, pani?... bo jeśli chodzi o pieniądze, to tak jestem zdarty kontrybucyami i podatkami narodowemi...

— Trzeba było jednych, albo drugich nie płacić.

— Ba! łatwo pani mówić trzeba... miałbym się z pyszna, gdybym poszedł za tą radą.

— Zresztą nie o pieniądze tutaj idzie.

— Tylko o co?

— O paszport.

— A! — otworzył usta markiz! nie mogąc pojąć, coby on wspólnego mógł mieć z paszportem.

Konstancya w krótkich słowach opowiedziała mu swoje położenie, grożące śledztwa i niemożność otrzymania pozwolenia wyjazdu.

Markiz słuchał i w serce jego zaczęła wstępować trwoga. Sama obecność w jego domu kobiety zagrożonej taką odpowiedzialnością w obec rządu, groziła i jemu odpowiedzialnością. Nie zastanowił się nad tem gdy ją przyjmował, i teraz chciałby się jej pozbyć jak najprędzej bądź co bądź. A tu jeszcze ta kobieta przychodziła do niego z jakąś prośbą. Położenie biednego Markiza komplikowało się, zimny pot zaczął występować mu na czoło.

— Wszystko to dobrze, a raczej wszystko źle — rzekł gdy skończyła — ale jakimże sposobem sądzisz pani, że ja mógłbym się przyczynić do uzyskania dla niej paszportu. Gdybym się chciał wstawić za panią zgubiłbym siebie i całą przyszłość mego rodu, a pani bym nie dopomógł.

— Nie żądam od pana markiza tak wielkich ofiar — odpowiedziała z godnością Konstancya — żądam rzeczy nadzwyczaj prostej.

— Naprzykład?

— Niech mi pan markiz każe wystawić *wid* jako jednej z swych poddanek udającej się w interesach kupieckich w głąb Rossyi. Słyszałam, że takim *widem* poświadczonym przez władzę miejscową można podróżować gdzie się podoba.

— To prawda, ale w takim razie jest to ucieczka.

— Narażasz pani na konfiskatę wszystko co macie.

— Nie wszystko, panie markizie... to co mieć mamy zabezpieczył mój dziadek powierzając panu markizowi.

Pan Ketteler znowu ugryzł się w język, widocznie nie o tem myślał.

— To prawda, to prawda — rzekł, jąkając się — ale zawsze i to co macie oprócz tego zawsze coś warte.

„To, tego“, „tego, to“, plątał się pan markiz, nie chcąc wyraźnie powiedzieć o co chodziło. Gdyby w tej chwili Konstancya wspomniała wyraźniej o Zaskalu, sądzimy, że nie zrobiłaby panu markizowi wielkiej przyjemności tem przypomnieniem.

Ale jej nie sprawy majątkowe były na myśli.

— Nie mam czasu zastanawiać się nad tem — odpowiedziała — proszę pana markiza o taki dokument i wyjeżdżam.

— Jakto? dziś? zaraz?

— Dziś, zaraz...

Przyjemnie się zrobiło panu markizowi na tę stanowczą odpowiedź.

— Energiczna z pani kobieta — rzekł — pozazdrościć małżonkowi... Ale, dodał po chwili — cóżbyś pani zrobiła gdybym ja nie mógł wystawić takiego dokumentu?...

— Prosiłabym pana markiza o ukrycie mnie tu w pałacu, bo nie mogę przecież wracać do Gradowiec, gdzie mnie taka odpowiedzialność czeka — odrzekła z determinacyą Konstancya.

Wiedziała jak to było skutecznem. Markiz aż podskoczył.

A cóż znowu za przypuszczenie! zawołał — gdzieżbym ja odmówił mojej kuzynce takiej drobnej przysługi... zaraz... natychmiast każę przygotować dokument.

To mówiąc, wyszedł.

Konstancya patrzała za nim przez chwilę i uśmiechnęła się boleśnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SĄD BOŻY.

Tłómaczył z angielskiego S. P.

TOM I.

(Ciąg dalszy.)

Byrd zmieszał się. Pytanie, czy brylantowy pierścionek był rzeczywiście jej własnością nasuwało mu się na usta, lękał się jednak rzucić podejrzenie na tę piękną dziewczynę, nie mając żadnych przeciw niej dowodów.

Tredwell zauważył jego wahanie się, i zawołał żywo:

— Nie, nie, panna Dare nic nie ma z tem wspólnego. Jest to najzacniejsza, najszlachetniejsza dziewczyna, jaką znam, i jestem pewien, że nazwisko pani Klimmer słyszała dziś po raz pierwszy.

Ładna twarz Byrda rozjaśniła się uśmiechem zadowolenia.

— Dobrze więc, rzekł, jeżeli śledztwo sądowe nie wykryje winowajcy, i jeżeli pan chcesz istotnie mej pomocy, to napiszę o pozwolenie do New-Yorku. Tymczasem.....

— Tymczasem oglądaj się pan na wszystkie strony, — przerwał Tredwell, chowając starannie do kieszeni list pani Klimmer. — A przedewszystkiem zachowaj głębokie milczenie.

Po tych słowach udali się znowu obydwaj do sypialni.

— Nie umarła jeszcze — oznajmił drugi lekarz — i może się tak męczyć aż do północy. Ale jest już tak słabą, że ust nie potrafi otworzyć, więc też niczego się od niej nie dowiemy. Zaśnie bez walki!

Pod temi warunkami uznali Orkut i Ferris obecność swoją tutaj za zbyteczną i odeszli, a zaledwie drzwi się za nimi zamknęły, rozpoczął Byrd badania na miejscu zbrodni. Najpierw obejrzał dokładnie drzwi i okna, narysował plan całego pokoju, wymierzył odległości, zanotował przedmioty, znajdujące się na stole, w końcu zaś otworzył boczne drzwi i ostrożnie wysunął głowę.

Jego obojętne usposobienie zmieniło się teraz zupełnie; nic nie uszło bystremu oku, a twarz wyrażała silną wolę i stanowczość. Tredwell patrzał na niego z niezmiernem zajęciem.

— Zdaje mi się — pomyślał — że nie zawiodę się na nim

Około drugiej musiał Byrd iść znowu na sąd w sprawie, do której go Ferriss angażował. W ogrodzie pani Klimmer znajdowało się zawsze jeszcze dużo osób, i zaledwie Byrd stanął na progu, gdy owa stara kobieta, z którą rozmawiał przed dwoma godzinami o Iwonie, zbliżyła się szybko do niego, i kładąc mu poufale rękę na ramieniu, zapytała szyderczo:

— No, jakże tam rzeczy stoją? Zapewne możesz mi pan powiedzieć, o ile ta piękna panna jest w całą sprawę wmieszana!

— Kto.....?

— Któżby, jeżeli nie owe młode, przemądrzałe stworzenie, które myśli, że może każdemu rozkazywać i że wszyscy muszą jej ustępować z drogi. Ona wie coś o tem — mogłabym przysiądz, bo po co przyszła tu dziś zaraz?

Dziwne nieprzyjemne uczucie ogarnęło Byrda, gdy z tych wstrętnych ust usłyszał niejako potwierdzenie swego własnego podejrzenia.

— Panna Dare nic nie ma z tą sprawą wspólnego — odrzekł szorstko — nie zna wcale pani Klimmer i czuje tylko litość dla biednej.

— Ha, ha, ha — roześmiała się stara — jak tylko mężczyzna zobaczy ładną twarz, to traci rozum. Na jej czole przecież napisane było, że wiedziała o wszystkiem więcej, niż ktokolwiekbądź. Bez powodu nie wpada nikt w ten sposób do obcego domu. Morderstaw ukryć nie można, zobaczymy, co piękna panna ma z niem wspólnego!

Ostatnie słowa wymówione były tak dziwnym tonem, że musiały zadziwić Byrda.

— Czekajcie — zawołał ostro — jeżeli wiecie coś bliższego o pannie Dare, to mówcie, natychmiast! Ale jeżeli tylko chcecie rozsiewać złośliwe plotki dlatego, że widzieliście pannę Dare wychodzącą z twarzą bladą i przerażoną z domu wdowy, to strzeżcie się! Panowie Orkut i Ferris nie znają żartów i nie pozwolą wam zaczepiać niewinnej dziewczyny w tak niegodziwy sposób!

Skutek tej groźby był zdumiewający.

O czem ja mam wiedzieć? — krzyczała stara — mówię tylko to, co wyrażała zmieszana twarz i ruchy tej pieknej panny. Jeżeli pan tego nie rozumie, no, to pańska szkoda!

I nie czekając już na dalsze pytania, oddaliła się szybko, szepcząc:

— Jeszcze przyjdzie kolej na mnie, a wtedy powiem wszystko i nikt mi tego nie zabroni!

Byrd zamyślony, udał się na sąd. Czy już zupełnie zapomniał o tem, że był tajnym policyantem? Zamiast grozić starej, powinien był skorzystać z sposobności i wybadać ją zręcznie. Cóż go mogło nakłonić do takiego nieostrożnego postępowania? Czy rzeczywiście piękność Iwony wywarła na nim takie wrażenie, że nie chciał pod żadnym warunkiem uwierzyć w jej winę? W inny sposób nie umiał sobie tego wytłumaczyć. Ale przypuściwszy, że była niewinną, jak twierdził coroner, przypuściwszy, że stara wiedźma była złośliwą plotkarką, czyż nie było jego obowiązkiem przestrzedz Iwonę, lub jej wielbiciela, adwokata Orkuta i zwrócić im uwagę na haniebne podejrzenie, jakie na młodą dziewczynę rzucono?

— Gdyby oczerniono tę, którą kocham — myślał — czy nie życzyłbym sobie dowiedzieć się wszystkiego, aby jej bronić?

I po skończonem posiedzeniu zbliżył się Byrd do Orkuta i w krótkich słowach zapytał go, czy wie, że młoda dziewczyna, którą dzisiaj spotkali w domu pani Klimmer, posiada w mieście nieprzyjaciółkę, rozsiewającą złośliwe o niej plotki.

Adwokat spojrzał na niego podejrzliwie.

— Nie rozumiem pana rzekł. — Jakież plotki mogą krążyć o dziewczynie, mającej taką renomę, jak panna Dare?

— Owa stara kobieta twierdziła, że panna Dare musi mieć jakiś tajemniczy stosunek z dzisiejszą zbrodnią, inaczej nie byłaby tam pobiegła w takiem przerażeniu. Uczyniłem co mogłem, aby jej dowieść całe szaleństwo podobnego przypuszczenia, obawiam się jednak, że chociaż stara milczy teraz, to wkrótce powtórzy innym swoje domysły.

Orkut zbladł, pomimo, że usiłował zachować zwykły swój spokój.

— Dziękuję panu — szepnął — jestem najlepszym przyjacielem panny Dare i znam ją dosyć, aby zapewnić, że ona najmniejszej nie ma styczności z ową zbrodnią. Jej postępowanie dzisiejsze, trochę wprawdzie podpadające można sobie bardzo łatwo wytłomaczyć. Proszę, nie zajmuj się pan dalej tą kwestyą, nie warto o tem doprawdy mówić!

I uśmiechając się, podał rękę Byrdowi, który zauważył, że ręka ta drżała silnie. Zdawało mu się, że pomimo wszelkich zapewnień, zaczyna Orkut podejrzywać także Iwonę.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Iwona.

Orkut nie należał do rzędu tych mężczyzn, na których wdzięki niewieście wielkie wywierają wrażenie. Czy obojętność jego pochodziła z jakiego dawniejszego rozczarowania w miłości, o którem znajomi jego nic nie wiedzieli, czy rzeczywiście był tak nieczułym, tego nikt nie umiał odgadnąć, dosyć, że wszelkie usiłowania pięknych panien w celu pozyskania jego serca, były daremnemi. Sławny adwokat traktował je z obojętnością, graniczącą nieomal z lekceważeniem. Ale wszystko to zmieniło się od chwili, w której Iwona Dare przestąpiła próg jego domu. Ona to roztaczała wkoło siebie blask, oświecający ponure dotąd życie Orkuta.

W Sieley zapomniano oddawna już, że owa piękna, dumna dziewczyna była biednem dzieckiem znalezionem na progu pewnej ubogiej kobiety, która je litościwie przygarnęła do siebie i zastąpiła mu najlepszą matkę. Kobiecie tej, samej i opuszczonej, była dziewczynka prawdziwym podarunkiem z nieba. I każdy umiał ocenić dobre jej serce, starając się czynem i radą pomódz w wychowaniu dziecka, tak, że nędzne mieszka-

nie wdowy stało się wkrótce ładnem i dobrze urządzonem, i troska o kawałek chleba znikła na zawsze.

W jedenastym roku życia straciła Iwona swoją zacną opiekunkę, ale szczęście sprzyjało jej, bo natychmiast znalazła inne, nowe schronienie. Jakieś stare małżeństwo wzięło ją do siebie, i tu miała Iwona sposobność gruntownie wykształcenia się i nabrania wytwornych form towarzyskich. Odtąd należała do wyższego świata. Piękność rozwijała się z każdym dniem prawie i nie było w całem mieście dziewczyny, mogącej się z nią równać tak pod względem urody jak i rozumu. Ale po upływie 5-ciu lat zmieniło się jej położenie. Opiekunowie stracili majątek, a gdy wkrótce potem umarli, była zmuszoną starać się sama o swoje utrzymanie. Nie zbywało jej wprawdzie na rozmaitych propozycyach, których jednak przyjąć nie chciała. Wolała poszukać jakiego miejsca, i pracować bez cudzej pomocy na życie.

Prędzej niż się tego spodziewała, znalazła odpowiednie miejsce u panny Orkut, siostry adwokata, która będąc już starą i słabą, potrzebowała kogoś do prowadzenia całego gospodarstwa domowego.

Że Iwona bardzo była piękną, na to panna Orkut nie zważała, pokochała ją też zaraz z całego serca i pozwoliła jej dowolnie rządzić domem. Zauważyła także z przyjemnością, jak zbawienny wpływ na bracie wywarła obecność młodej dziewczyny. Orkut z zachwytem patrzał na śliczną Iwonę i chętnie poddał się jej urokowi.

Ale bo też ona zupełnie była inną, jak inne dziewczęta, które znał dotąd. Dumna, nieprzystępna, a przytem wykształcona, uprzejma i miła, zachwycała każdego, kto miał sposobność zbliżenia się do niej. I nie trwało długo, a Orkut pokochał ją całą siłą swego serca, chociaż o zaślubieniu jej nie pomyślał ani na chwilę. Iwona miała być córką i spadkobierczynią jego majątku, podporą starości. Gdy jednak wróciła z Buffalo, dokąd ją na kilka tygodni wysłał w czasie, gdy serce jego ciężką z rozsądkiem staczało walkę, poznał natychmiast, że zamiaru tego nigdy wykonać nie zdoła. I powiedział sobie, że albo się z nią ożeni, albo Iwona musi dom jego opuścić. Młoda dziewczyna zmieniła się też trochę po powrocie, stała się weselszą, swobodniejszą, śmiała się chętnie, a oczy jej nabrały dziwnego wyrazu rozmarzenia i czułości. Orkut był przekonanym, że i on nie jest jej obojętnym, że tęskniła za nim, i że to miłość wywołała u niej tę korzystną zmianę.

Pomimo jednak stanowczego zamiaru ożenienia się z nią nic jeszcze do niej o swych uczuciach nie mówił. W charakterze dziewczęcia, w jej usposobieniu i w całej istocie było coś zagadkowego, niezrozumiałego, a teraz uwydatniało się to więcej jeszcze, niż dawniej, przed ową podróżą do Buffalo. Czy to znaczyło coś dobrego lub złego, tego Orkut nie wiedział, w każdym razie postanowił być ostrożnym. Ale namiętność uniosła go raz, i zapominając o wszystkiem na świecie, wyznał jej swoją bezgraniczną miłość.

Wyznanie to wywarło inne na Iwonie, niż się spodziewał, wrażenie. Iwona zdawała się bardzo zdumiona i powiedziała mu otwarcie, że nigdy nie myślała o takiej z jego strony propozycyi; potem prosiła, aby chwilowo o tem nie mówił, żądając dłuższego czasu do namysłu.

I tak właśnie stały rzeczy, gdy zbrodnia, popełniona na wdowie Klimmer w innem znowu świetle pokazała Iwonę. Czyż było możliwem, aby ta piękna, dumna dziewczyna miała znać tajemnicę, otaczającą dotąd jeszcze owe haniebne morderstwo?

Byrd byłby wątpił o tem, gdyby zachowanie się Iwony w domku nieszczęśliwej kobiety nie było tak podpadającem i niestósownem. Orkut zaś nie czuł chwilowo nic więcej, jak zazdrość — zauważył bowiem, z jakiem przerażeniem spojrzała na brylantowy pierścionek na palcu, gdy umierająca zawołała:

— Ręka — pierścionek.....

Że klejnot ten nie był jej własnością, o tem wiedział aż nadto dobrze, do kogo więc należał? Czy ona znała jego właściciela? Pytania te zaniepokoiły Orkuta niezmiernie, to też nie można mu się było dziwić, że dziwne postępowanie Iwony zatrwożyło go, tem więcej, że i Byrd i inni także to samo zauważyli.

Rozpaczliwe myśli cisnęły mu się do głowy, gdy wracał teraz do domu, ale na widok, jaki mu się tutaj przedstawił, stanął, jak wryty.

W sieni stała Iwona w podróżnym płaszczyku, z torebką w ręku.

— Co to znaczy? krzyknął przerażony: Dokąd pani idziesz?

Twarz dziewczęcia była śmiertelnie bladą.

— Jadę do Buffalo!

Więc chciała uciekać! Orkut uczuł straszny zawrót głowy. I dlaczego — zkąd — ta — niespodziewana podróż? wyjąkał.

Otrzymałam ważną wiadomość, odrzekła spokojnie, a zatem muszę jechać. Jeden z moich — znajomych zachorował. Nie zatrzymuj mnie pan dłużej!

Ręce Orkuta drżały jak we febrze.

— Wybacz Iwono, szepnął, ale nie mogę pozwolić ci odejść, zanim nie rozmówię się z tobą stanowczo Pójdź do salonu, to nie potrwa długo.

— Nie, nie, zawołała żywo. Jeżeli zostanę jeszcze kilka minut, spóźnię się na pociąg!

— Nic nie szkodzi, rzekł, zapominając o wszystkiem w świecie. Ja muszę raz nareszcie otrzymać stanowczą twoją odpowiedź.

— Dobrze. Życzenie pana jest mi rozkazem. Pojadę jutro!

Mówiąc to poszła do salonu i usiadła przy oknie. Orkut stanął przed nią.

— Przedewszystkiem, zaczął dosyć szorstko, proszę mi powiedzieć, dlaczego chciałaś opuścić mój dom?

— Powiedziałam już, odrzekła cicho i łagodnie. Ważna wiadomość powołuje mnie do Buffalo, ale tylko na kilka dni!

— Więc zamierzasz tu wrócić?

— Naturalnie! Wszakże mieszkam tutaj!

Słowa te, pełne prostoty uszczęśliwiły nad wyraz Orkuta. Ujął jej rękę, spojrzał w oczy, i rzekł serdecznie:

— Powiedz mi, Iwono, jaki ciężar przytłacza twoje serce! Ufaj mi! Zrób mnie powiernikiem twego kłopotu. Co jest powodem twego przygnębienia od kilku godzin?.....

Ale blada twarz Iwony pozostała niewzruszoną.

— Nic! rzekła krótko.

— Nic! powtórzył smutnie.

Wiedział on, że jakaś tajemnica dzieli ich, i to tajemnica tycząca owego morderstwa. Lecz w jaki sposób zmusić ją do wyznania tego, co ją widocznie tak bardzo niepokoiło?

Zasypywać ją pytaniam — nic nie pomogło. Iwona była upartą i za nic w świecie nie byłaby powiedziała tego, czego powiedzieć nie chciała, trzeba więc było innego użyć środka do zakończenia okropnych wątpliwości, dręczących jego duszę, a przytem nie obrazić jej i nie stracić miłości, która się stała jedynym celem jego życia.

— Zapominasz Iwono, zaczął nareszcie, że ja zawsze jeszcze czekam na twoją odpowiedź..... Daj mi prawo opiekowania się tobą i wiesz, że kocham cię całą siłą mego serca, i że jedynem mojem życzeniem jest, abyś została moją żoną!

Iwona zadrżała. Zwolna odwróciła głowę i zdawała się namyślać przez chwilę. Potem podniosła na niego swe śliczne, czarne oczy i rzekła cicho:

— Jestem panu bardzo wdzięczną i umiem ocenić zaszczyt, jaki..... Ale dziś..... nie mogę..... dziś nie mogę się jeszcze zdecydować. Za kilka tygodni może.....

— Oh, Iwono, najdroższa! zawołał Orkut uszczęśliwiony jej słowami, więc mogę mieć nadzieję?

Iwona wstała szybko i zbliżyła się ku drzwiom.

— Pójdę teraz do mego pokoju, szepnęła. Głowa mnie boli, chciałabym trochę wypocząć!

— Tylko jeszcze kilka słów! Dlaczego zbrodnia dzisiejsza wywarła na tobie takie wrażenie? Jesteś zupełnie zmienioną, kochanie!

— Przecież to bardzo jasne! Dlaczego nie miałaby mnie wzruszyć gwałtowna śmierć kobiety, której nazwisko tak często z ust pana słyszałam?

— Prawda, ale wszystkim jednak podpadło, że pobiegłaś na miejsce zbrodni. Tego by żadna inna, młoda kobieta nie uczyniła!

— Ja też nie jestem taką, jak inne. Jeżeli słyszę o czemś zagadkowem, tajemniczem, to pragnę wszystko zbadać. Niech ludzie myślą o mnie, co chcą!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Piosnka sieroty.

Matuleńko moja miła,
Czemuś ty mnie opuściła,
Co ja zrobię, co ja zrobię,
Smutno mi tu, niby w grobie!..

Matuleńko moja miła,
Czemuś ty mnie opuściła,
Już ja nie wiem, nie wiem wcale
Przed kim biedna się użalę.

Matuleńko moja miła,
Czemuś ty mnie opuściła,
Czyś jest w czyścu, czyś jest w niebie,
Zabierz droga mnie do siebie.

Matuleńko moja miła,
Czemuś ty mnie opuściła,
Robak żalu serce toczy,
Łza wyjada moje oczy.

Matuleńko moja miła,
Czemuś ty mnie opuściła,
Co mi życie — istna męka,
Biedne serce moje pęka...

Matuleńko moja miła,
Czemuś ty mnie opuściła,
Ulituj się mojej doli,
Bo mnie serce bardzo boli.

Matuleńko moja miła,
Czemuś ty mnie opuściła,
Wstaw się za mną ty do Boga —
Ja chcę z tobą być, o droga!

R. Jungiewicz.

Mały szpieg.

(Opowiadanie z wojny francuzko-niemieckiej.)

Stenne było mu imię.

Stenne był typem prawdziwego małego ulicznika paryzkiego. Szczupły, mizerny chłopczyna mógł mieć lat 10 albo i 15, dokładnie poznać wieku jego nikt nie mógł. Matka dawno umarła, ojciec, stary marynarz, był stróżem jakiegoś parku miejskiego. Wszyscy znali starego inwalidę i lubili go niezmiernie.

Syna swego kochał on nad wszystko w świecie, i obydwaj żyli szczęśliwie i spokojnie.

Ale z początkiem oblężenia skończyły się dobre czasy. Park zamknięto, stróż nie miał żadnego zajęcia i bieda wnet zajrzała do nędznej jego izby.

Stenne uskarżał się mniej na nowy sposób życia. Oblężenie, to rzecz niezwykła dla małego ulicznika, szkoły zamknięte, wolność nieograniczona, a na ulicach tysiące ludzi, jak podczas jarmarku.

I całemi dniami wałęsał się chłopiec po mieście. Biegał za żołnierzami, przyglądał się ćwiczeniom wojskowym i słuchał z upodobaniem pięknej muzyki. Znajomości zawierał dużo, głównie zaś polubił pewnego wysokiego chłopaka, który zawsze miał przy sobie dużo pieniędzy. Malcowi imponowało to niezmiernie, sam bowiem nie posiadał ani szeląga.

Gdy nowemu przyjacielowi wypadł raz pieniądz z kieszeni, podniósł go Stenne i oddał, nie mogąc się przytem wstrzymać od smutnego westchnienia.

— Zazdrościsz mi pewnie? — zawołał chłopak szyderczo. — No, jeżeli chcesz, to ci powiem, zkąd można pieniędzy dostać!

I opowiedział mu, że sprzedaje Prusakom gazety, i że za każdym razem otrzymuje 30 franków.

— Możesz iść ze mną, — dodał wspaniałomyślnie.

Stenne nie namyślał się długo. Pokusa zbyt była silną i malec uległ jej.

Nazajutrz wybrali się obydwaj w drogę. Gazety wsunęli pod bluzy, przez ramie przewiesili próżne miechy i wyszli z miasta przed wschodem słońca. Gdy się zbliżyli do bramy Flandryjskiej, ujął towarzysz rękę Stenna i rzekł do żołnierza, stojącego na straży, płaczliwym głosem:

— Pozwól nam przejść, kochany panie! Nasza matka jest chora, ojciec umarł — nie mamy nic do jedzenia, więc chcielibyśmy poszukać na polu kilku kartofli.....

Stenne, zawstydzony, spuścił głowę, żołnierz zaś spojrzał z litością na biednych chłopców.

— Ruszajcie dalej, — zawołał, i pozwolił im przejść.

Nieco dalej spotkali cały oddział wojska francuzkiego. Starszy chłopiec opowiedział tę samą historyą i płakał rzewnemi łzami. Stary jakiś sierżant zaprowadził ich do namiotu i rzekł serdecznie:

— Przestań-że już płakać, chłopcze, kartofli znajdziecie dosyć, ale najpierw rozgrzejcie się trochę przy ogniu, bo zmarzniecie.

Stenne drżał istotnie, nie z zimna jednak, tylko z strachu i wstydu. Usiadł nieśmiało obok swego towarzysza, a żołnierze dali im kawy i kawałek chleba. I podczas kiedy jeszcze jedli, wszedł do namiotu oficer, zwołał podoficerów i starego sierżanta i rzekł uroczyście:

— Dziś w nocy wyruszymy na stanowczą walkę! Znamy hasło Prusaków — dziś wszystko się rozstrzygnie.

Żołnierze szaleli z radości. Z nieopisanym zapałem rzucono się do czyszczenia broni, śpiewano, krzyczano, a wśród ogólnego zamieszania wysunęły się chłopcy niepostrzeżenie z namiotu i pobiegli dalej przez śnieżne pola.

Po upływie godziny ukazał się w dali pierwszy żołnierz pruski. Stenne zadrżał z przerażenia.

— Wróćmy się, błagał ze łzami w oczach, — ja tam nie pójdę!

— Głupiś, — odrzekł starszy i gwizdnął głośno.

Prusak zbliżył się szybko.

— Kto to jest? — zapytał wskazując na Stenna.

— Mój brat! — odpowiedział zapytany.

Wszyscy razem poszli teraz do obozu. Gdy oficerowie ujrzeli chłopców, otoczyli ich zaraz ciekawie, a chociaż twarze ich wyrażały dumę i pogardę, to śmiali się jednak wesoło z dowcipów starszego chłopaka i wypytywali go o rozmaite szczegóły życia w Paryżu.

Mały Stenne chciał też opowiadać, aby pokazać, że nie jest tak głupim, ale coś żenowało go i trzymało mu język na uwięzi. Nieco dalej siedział jakiś Prusak, niemłody, poważny i dziwnym wzrokiem wpatrywał się w malca. Może miał w domu także synka w tym wieku i może myślał w tej chwili:

— Wolałbym, aby umarł, niż gdyby miał upaść tak nizko.

Stenne doznawał takiego uczucia, jak gdyby żelazna jakaś ręka, chwytała jego serce, a chcąc się uczucia tego pozbyć, wypił od razu pełen kieliszek wina, który mu towarzysz jego podał. I teraz zaczęło się wszystko w około niego obracać, i jak we śnie słyszał dowcipy starszego i śmiech oficerów. Nagle zadrżał. Towarzysz jego zaczął szeptać tajemnicze jakieś słowa, oficerowie spoważnieli — ach, wszakże teraz była mowa o zamierzonym napadzie wojska francuzkiego. Tym razem uniósł się gniewem i schwycił ramie starszego.

— Cicho, — krzyknął, — ja nie chcę, abyś o tem powiedział, nie chcę!

Ale chłopak rozśmiał się i mówił dalej. Gdy skończył, wskazał im jeden z oficerów drzwi. Starszy szedł dumny, uśmiechnięty, potrząsając w kieszeni pieniędzmi, Stenne postępował za nim z spuszczoną głową, na wpół nieprzytomny. Stary Prusak patrzał na nich z jawną pogardą i szepnął łamaną francuczczyzną:

— Taki młody, a już taki zbrodniarz!

Z oczu Stenna spłynęły łzy, otarł je więc szybko i po chwili był już znowu na polu. Gdy przechodzili koło namiotów francuzkich, ujrzeli żołnierzy, przysposabiających się do napadu nocnego, a wszyscy mieli twarze rozpromienione nadzieją świetnego zwycięstwa.

Ach, jak radość ta bolała Stenna! I już chciał biedz do nich i wołać:

— Nie chodźcie tam, bo my zdradziliśmy was!

Ale starszy chłopak zauważył wzruszenie jego i rzekł groźnie:

— Jeżeli im wyznasz prawdę, zastrzelą nas obydwóch!

W mieście podzielili się pieniędzmi. — Stenne otrzymał rzetelnie połowę zarobku i przez chwilę cieszył się z swego skarbu, a zbrodnia, jaką popełnił, nie wydawała mu się już tak wielką.

Ale gdy nieszczęśliwe dziecko zostało samem! Pieniądze zaczęły mu ciężyć — ludzie patrzeli na niego z taką samą pogardą, jak ów stary Prusak, a w turkocie kół słyszał wyraźnie okropne słowa: „szpieg i zdrajca!“ Nareszcie przybył do domu i schował pieniądze w łóżku.

Stary inwalida dawno już nie był w tak świetnym, jak dziś humorze. W mieście rozeszła się wiadomość o zamierzonym napadzie na nieprzyjaciela i zapał nieopisany ogarnął mieszkańców. Około 10 wieczorem dały się słyszeć strzały armatnie.

— Nareszcie! nareszcie! — wołał starzec. — Stenne, gdybyś był dorosłym, poszedłbyś z nimi, nieprawda?

Chłopiec zbladł śmiertelnie i spuścił

głowę. W myśli widział sierżanta, który mu dał kawy, a który teraz już pewnie nie żyje — obok niego leży tylu innych żołnierzy, zbroczonych krwią.... A pieniądze za krew tę znajdują się w jego łóżku! I to on uczynił, on, syn starego, walecznego Francuza, ach — to okropnie!

Armaty grzmiały nieustannie.

— Oj, biją się, biją się dzielnie, — powtarzał ojciec z radością.

Stenne nie mógł już dłużej wytrzymać. Z głośnym płaczem rzucił się do ojca, i objął jego kolana.

— Co to znaczy, co się stało? — zawołał stary drżącym głosem.

Łkając rozpaczliwie opowiedział chłopiec wszystko, a ojciec słuchał z twarzą okropnie zmienioną. Gdy Stenne skończył, ukrył twarz w rękach i jęknął głucho.

— Ojcze! ojcze!

Stary odepchnął syna.

— Daj mi te pieniądze, — rzekł krótko.

Dziecko przyniosło je.

— Jest to cała suma? Nie zatrzymałeś ani grosza?

— Nie!

Stary zdjął z gwoździa zadrzewiałą strzelbę, wziął torebkę z kulami i włożył pieniądze do kieszeni.

— Pójdę do nich i oddam im wszystko, — rzekł ochrypłym głosem.

I nie spojrzawszy ani razu na skamieniałego z przerażenia chłopca, wyszedł.

Od tej chwili nikt go już nie widział.....

Sigma.

Kronika.

Znałem pewnego kronikarza, który w swych kronikach, pisanych w latowych miesiącach, poruszał często bardzo na pozór ważne kwestye, kuł projekty, otwierał szerokie horyzonty i t. p. Przyjrzawszy się tym kwestyom, projektom i pomysłom bliżej, przekonywałem się, że to wszystko pomysły utopione, czyli nie do spełnienia. A ponieważ to był kronikarz i feletonista wytrawny, domyśliłem się, że nie bez celu to robi, lecz nie wiedziałem w jakim. Dlatego zapytałem się go, o przyczyny. Wtedy on rzekł: Mój drogi, te wszystkie projekty, które obecnie rzucam, są wszystkie trudne do zrealizowania, ale, ponieważ wiem, że w tym czasie upałów kanikularnych mało kto czyta, a tem mniej się zagłębia i zastanawia nad kwestyą poważniejszą, więc moje projekty szkody żadnej nie przynoszą. Inaczej byłoby zimą — wtedy i więcej czasu do czytania i więcej czasu do myślenia. Mógłby się więc kto zapalić do którego z mych pomysłów. Nałamałby sobie głowy, namarnowałby dużo czasu a pożytku ztąd nie byłoby żadnego. A tego nie chciałbym.

Tak zaś mam zawsze materyał do pisania poważny, a szkody nie przynoszący.

Tak opowiadał mi swego czasu pewien kronikarz warszawski.

Ja mam ochotę iść jego śladem, ale mię sumienie gryzie — w tem spotykam znajomego mi dobrze Antosia. — Jak się masz? — Jak się masz? — Upał? — A upał? — I cóż? — A no nic? — Cóż taki jesteś, jakby przygnębiony? — Hm! No skończyłem moje zajęcia i tak sobie chodzę bez celu. — A pani, dziateczki zdrowe — pytam. — Dziękuję — miałem list od żony dobrze im się powodzi. — Gdym usłyszał tę odpowiedź, byłem już w domu. Doszedłem przyczyny jego przygnębienia.

Ten człowiek był *„słomianym wdowcem.“*

Zanim przejdę do mego projektu określę bliżej naturę tego specyalnego rodzaju mężczyzny. Na ogół — nie wchodząc w ścisłe rozróżnienia — poznałem dwa rodzaje słomianych wdowców. Pierwszy i to u nas liczniejszy rodzaj stara się zachować taki sam tryb życia, jaki prowadzi, gdy żona w domu. Wdowcy słomiani należący do tej kategoryi, tracą niechęć filisterstwem, ale nie pozwolę mimo to nic na nich powiedzieć, bo tak być powinno. W tym trybie życia braknie im atoli jednego czynnika, to jest ciepła rodzinnego i domowego pożycia, więc im brak czegoś, i ten brak odbija się niekorzystnie na ich usposobienie.

Drugi rodzaj słomianego wdowca, u nas mniej liczny, a więcej znachodzący się naprzykład w takiem mieście wesołego humoru, jak Warszawa, uważa czas słomianego wdowieństwa za rodzaj wakacyi, za wyzwolenie się z pod jednostajności życia rodzinnego i ci się nie nudzą. Szukają oni rozmaitej rozrywki... Oto czy nie byłoby dobrze, gdyby te dwa rodzaje słomianych wdowców połączyły się i założyły klub słomianych wdowców?

Czy nie dobry pomysł?

Podam zaraz kilka paragrafów. § 1. Ścisłe spełnianie zawodowych obowiązków. Po spełnieniu ich zebranie w ogródku przy piwie nie rychlej jak o godzinie 9tej. Koniec posiedzenia o godzinie 11. Kto przekroczy godzinę, płaci karę. Raz lub dwa razy na tydzień wycieczka po za miasto. § 2. Kary te składa się na instytucyą społeczną, n. p. „Czytelnie Ludowe.“ § 3. Z każdego wieczoru spisuje się protokół — n. p. ile każdy wypił kufelków. Protokół należy posłać żonie. § 4. Zebrania mają się odbywać tylko w polskim lokalu. § 5. Powrót żony zwalnia bez wszystkiego od należenia do klubu.

To byłby projekt w grubych zarysach. — Kto się zajmie otworzeniem tego klubu? Ja nie, lecz moją rzeczą poddawać myśli, szkicować projekty. Do wykonywania powinni się zabrać inni.

Po bliższej rozwadze dochodzę do przekonania, że projekt mój nie należy w rzeczywistości do utopii. Przecież istnieją rozmaite kluby — mamy n. p. szachistów — ach przepraszam! tych nie mamy, ale mamy w wyższem towarzystwie kluby rowerzystów — ach przepraszam! i tych nie mamy — na pewno jednak będzie Koło literackie. Kronikarzu, co ty dzisiaj wyprawiasz! Przecież i takiego „Koła“ nie mamy. No! jeden klub jest na pewno „niewinnych gierek.“ — Prawda! — Więc ponieważ tak mało u nas klubów, klub słomianych wdowców na sezon latowy byłby na miejscu. Lecz dosyć o tym klubie. Widać, że zlot sokoli się zbliża, bo zarząd Związku energicznie powołuje druhów do szeregu. Ciekaw jestem, ilu też gimnastyków przybędzie? Czy mniej, jak przy ostatnim zlocie? Czy będzie ich więcej?

Jest to dziś kwestya tak samo trudna do rozstrzygnięcia jak ta, czy ambasadorowie w Pekinie żyją lub nie żyją? — Jabym za ich życie nie dał fenyga, pomimo zaręczeń poważnych mandarynów, którzy trzymają się zasady, że nie na to dał Pan Bóg człowiekowi mowę, aby prawdę mówić, lecz na to, aby wichłaczyć i kłamać. Co prawda to nie tylko, w Chinach są mandaryni tego rodzaju myślenia, znalazłoby się ich także sporo w Poznaniu. — Trudno i tacy żyć muszą.

Verus.

Nasze illustracye.

Na stronie 799 i 800-ej zamieszczone są cztery illustracye z wystawy paryskiej, przedstawiające bramę główną, bramę wielkiego pałacu, bramę małego pałacu i bramę pałacu kostiumów.

Monumentalna brama główna wznosi się nad Sekwaną, na placu Zgody po lewej stronie od mostu. Jest to jakby wielka kopuła, utworzona przez połączenie trzech idących łukowato od ziemi filarów. Bramą tą wejść może bez ścisku i tłoku 60,000 osób na godzinę.

Cała brama zbudowana jest z żelaza, ażurowana i malowana na różne kolory jasne, między któremi przeważa złotawy, zielony, a szczególniej niebieski. Na szczycie łuku frontowego, na wysokości 36 metrów nad ziemią, stoi posąg „Paryżanki“, dzieło młodego 28-letniego rzeźbiarza Moreau-Vauthiers.

Wieczorem przedstawia brama widok czarujący, gdyż oświetlona jest tysiącem światełek elektrycznych różnobarwnych.

Poczesne miejsce między pawilonami zajmują „Grand palais“, „Petit palais“ i „Palais du Costume.“ Ostatni wznosi się na polu Marsowem, zaraz po lewej stronie mostu Jenajskiego i wieży Eiffla. Zawiera on historyą rozwoju odzienia, głównie, ale nie wyłącznie kobiecego, od najdawniejszych aż do naszych czasów, przedstawioną w 34 scenach historycznych na figurach woskowych naturalnej wielkości. Jest i doskonale odtworzona królowa Marya Leszczyńska w błękitnym płaszczu królewskim z upudrowanemi włosami.

B. R.

Wiadomości literackie.

Ocknienie, dramat w 3-ch aktach przez Dr. K. Rakowskiego.

Lwów. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. — Cena 1 m. 50 fen.

Ostatnią nowością wśród nakładów ruchliwej firmy wydawniczej lwowskiej jest nagrodzony zaszczytnem odznaczeniem na konkursie dramatycznym dramat „Ocknienie“. Sprawozdanie komisyi konkursowej było nadzwyczaj pochlebne dla autora, którym jest znany czytelnikom „Pracy“ Dr. Kazimierz Rakowski, stały nasz współpracownik.

Jest to utwór, którego treść zaczerpnięta nie z fantazyi, lecz wprost z życia, z naszych stosunków. W szatę artystyczną przyoblekły się tam nasze bolesne nieraz i tragiczne przejścia w walce z germanizacyą o utrzymanie zie-

mi, a bardziej jeszcze o utrzymanie idealnych dóbr — narodowości. Autor traktuje swój przedmiot z serdecznem ciepłem, ale też nieraz i z goryczą, do której uprawniają go coraz częstsze niestety, przykłady zaprzaństwa wobec sprawy narodowej.

Jakkolwiek w *Ocknieniu* poruszane są sprawy li tylko zaboru pruskiego, jednakowoż ogólno-polska idea tak wyraziście się odbija w tym utworze, że cenzura warszawska zamknęła *Ocknieniu* drogę nietylko do teatrów w Królestwie, ale nawet do handlu księgarskiego.

Jak słyszymy, dyrektor Pawlikowski we Lwowie zamierza wystawić *Ocknienie* w ciągu najbliższego sezonu zimowego. C.

Od księdza proboszcza i radzcy duchownego Z. Sypniewskiego z Janówca odebraliśmy z prośbą o zamieszczenie następującą

Odezwę:

„Po wybudowaniu za łaską Bożą i pomocą miłosiernych rodaków kościoła w Kołdrąbiu, myślałem przeniósłszy się za wolą Najprzewielebniejszego X. Arcypasterza na probostwo do Janówca oddać się, ile mi siły na starsze lata starczą, pracy duchownej i społecznej. Tymczasem wskutek wizytacyi Najprzewielebniejszego X. Arcypasterza roku 1898 tu odbytej dostało mi się ciężkie zadanie z rozkazu Najwyższego Dostojnika, aby przebudować tutejszy kościół tak szczupły i niedostateczny dla parafii, a wyglądający raczej na szopę lub coś podobnego, ale nie na kościół. Ulegając chętnie woli Najwyższego Zwierzchnika Dyecezyi wziąłem się zaraz do zbierania składek najpierw w parafii, aby świętej Barbarze, której cudowny obraz tu w parafii we wielkiej czci i w nabożeństwie dla licznych łask, których parafianie i dziś od tej przemożnej patronki doznają, godniejszy zbudować przybytek. Słusznie mówi Najprz. X. Arcypasterz w swoim tegorocznym okólniku, iż nie potrzebujemy wysyłać pieniędzy w obce strony do miejsc cudownych, bo nasza ziemia zasiana obficie w cuda bogatemi świątyniami, które jednakże jako biedne i podupadłe na gwałt wołają o odbudowanie i naprawy.

Tu w Janówcu, jak w starych dokumentach się doczytałem — najstarszy z r. 1676 testament Macieja Grochowickiego, Łowczego Kaliskiego (starsze dokumenta w ogólnym pożarze w roku 1688 się spaliły) — wspomina o tem, że babka tegoż Imci Pani Spławska, dziedziczka Brudzynia, z wdzięczności za doznane od św. Barbary cudowne łaski własnym kosztem kaplicę tejże odnowiła. Przed tymże obrazem modli się syn Macieja Stanisław, gdy żegna rodziców, aby za królem Janem podążyć pod Wiedeń ratować chrześciaństwo, a wróciwszy składa św. Barbarze srebrne wotum za szczęśliwy powrót. Obraz zdobią jeszcze dzisiaj liczne wota.

Chwila jednakże obecna nie bardzo pomyślna, aby parafia sama mogła wystawić świątynię, której rysunek znany architekt pan Langer z Wrocławia ku zadowoleniu Księdza Arcybiskupa już wygotował — aczkolwiek przyznać mogę, że parafianie nie skąpią na ten cel swego grosza, mimo coraz większej biedy w okolicy — ponieważ otaczają ją zewsząd majątki kolonizacyi, a wspaniałość zborów na około kosztem fiskusa wystawionych biedę tę naszą tem bardziej uwydatnia, dlatego za pozwoleniem Najprz. Arcypasterza na mocy najwyższego dekretu z dnia 3go lutego r. b. Nr. 117/1900 O. udaję się do serc miłosiernych o pomoc, abym mógł wystawić świątynię wskazującą, gdzie szukać oparcia w dzisiejszych trudnych czasach.

Proszę więc pokornie chociaż tylko o mały datek, a nie proszę za darmo, bo parafianie Janowieccy polecać będą opiece św. Barbary łaskawych darodawców.

Uwaga. Przy każdym datku proszę uprzejmie dodać, iż datek jest wyłącznie na dobro i własność parafian.

Janówiec, w Lipcu 1900.
(Janowitz. Bezirk Bromberg.)

Ks. proboszcz Z. Sypniewski.
Radzca duchowny."

Datki na cel powyższy chętnie przyjmujemy. Redakcya „Pracy."

Wiadomości.

Ciekawy proces prasowy toczyć się będzie znowu dnia 3-go sierpnia b. r. o godzinie 9-tej z rana przed izbą karną tutejszego sądu ziemiańskiego i to tym razem przeciw wydawcy, członkom redakcyi, administracyi, ekspedycyi oraz personałowi drukarni „Pracy“ i „Czytelni Polskiej“.

Natomiast drugi proces o obrazę wytoczony przeciw odpowiedzialnemu redaktorowi „Pracy“, p. Władysławowi Siemątkowskiemu i spólnikom, odroczono na czas późniejszy.

Wreszcie jak głoszą pisma niemieckie — czeka nas też jeszcze proces za artykuł „Co Polakom wolno a co nie wolno“ zamieszczony w nr. 28 „Pracy“.

Jak widzimy, prokuratorya opiekuje się nadzwyczaj troskliwie naszą biedną „Pracą“ i „Czytelnią Polską“ i wciąż nam wytacza procesy. Niech i Czytelnicy, Przyjaciele i Zwolennicy nasi w równej mierze otoczą troskliwą opieką „Pracę“ jako też „Czytelnię Polską“ i niech nam zjednywają liczne nowe zastępy przedpłacicieli!

Tylko w ten sposób możemy dać godną odpowiedź tym, coby nas chcieli zmieść z oblicza ziemi.

Wysyłkę powieści „Pod maską“ już rozpoczęliśmy. Powieść tę, zbroszurowaną, obejmującą przeszło 120 stron w wielkim formacie książkowym, otrzyma każdy nowo przybyły czytelnik, jeżeli nam nadeśle franko kwit abonamentowy z poczty i 60 fen. w znaczkach pocztowych. Nieabonenci mogą nabyć tę powieść bardzo ciekawą i nadzwyczaj sensacyjną **tylko u nas** za nadesłaniem franko 1-ej marki najlepiej w znaczkach pocztowych. Ponieważ zamówienia na powieść „Pod maską“ mnożą się z dniem każdym, więc radzimy Czytelnikom, aby się w powieść tę zaopatrzyli jak najprędzej, dopóki zapas starczy.

Do skompletowania kwartalników są nam potrzebne numera 26 i 27 z b. r. — Szanownych Czytelników prosimy o nadesłanie nam tychże, a wywdzięczymy się im za to w inny sposób.

Najprzew. X. Biskup Likowski wyjechał ku poratowaniu zdrowia na kilkotygodniowy pobyt do Schreiberhau, na Slązku.

Ćwierćwiekowy jubileusz kapłański obchodzili 19-go b. m. w dyecezyi Chełmińskiej księża: X. prob. lic. Ignacy Binerowski w Rajkowach, X. prob. Robert Bleske w Ostrowitem pod Tucholą, X. prob. Antoni Dawidowski w Strzepczu, X. Robert Haecker w Wrocławiu, X. prob. Antoni Muchowski w Oksywiu, X. prob. Teodor Müller w Pluskowęsach i X. Franciszek Tyczyński w Starzynie pod Puckiem.

Wszystkim Jubilatom przesyłamy serdeczne życzenia „Ad multos annos“.

Na fundusz jubileuszowy dla Józefa Chociszewskiego nadesłali w dalszym ciągu: ks. Leon Klarowicz z Morzewa 10 marek, p. K. Stachowski z Chicago 5 marek. Razem złożono dotąd 144 marki 23 fen.

Dalsze datki na cel powyższy przyjmujemy chętnie.

Karty pocztowe z nadzwyczaj pięknemi i bardzo udatnemi i artystycznie wykonanemi reprodukcyami obrazów Juliusza Kosaka ze słynnych powieści Sienkiewicza „Ogniem i mieczem“ i „Pan Wołodyjowski“ ma na składzie renomowana i zaszczytnie znana firma „Antoni Rose“ w Poznaniu, w Bazarze, ulica Nowa. Karty te wyszły nakładem wzmiankowanej firmy i powinny się znajdować w każdym polskim domu.

Kruświca. Jak w przeszłym roku, tak i w tym przybywają tu do nas liczne Towarzystwa, aby u stóp prastarej Myszej wieży przepędzić choć małą chwilkę i uraczyć się pięknym widokiem polskiego morza, czyli jeziora Gopła.

Przybyło już Towarzystwo Młodzieży katolickiej z Inowrocławia, Tow. Przemysłowe z Gniezna, dalej Towarzystwa z Torunia, Bydgoszczy itd. W niedzielę dnia 8 bm. urządziło Tow. Czeladzi kat. z Inowrocławia do Kruświcy wycieczkę parowcem z tutejszej cukrowni od Mątew. Bawiono się na sali p. Degórskiego do wieczora, a potem był wyjazd o godz. $^1/_2$10 do Inowrocławia. Dnia 5 go sierpnia r. b. odbędzie się tutaj zjazd śpiewaków polskich. Powitanie gości na sali p. Zalewskiego, koncert i zabawa odbędzie się na sali p. Degórskiego.

Zwracamy baczną uwagę Czytelnikom naszym, mianowicie rolnikom, na inserat Pleszewskiej fabryki maszyn pod firmą „W Jezierski i Spł.“ Fabryka wzmiankowana poleca po nader przystępnych cenach wszelkie narzędzia rolnicze i wszelkie części do tychże. Także wszelkie reparacye wykonują się trwale i tanio. Cenniki wysyła fabryka gratis i franko.

Kupcom, zamierzającym się osiedlić na prowincyi, zwracamy uwagę na anons p. Cetkowskiego, mającego w swym domu w Swarzędzu do wynajęcia handel, w którym ostatnio znajdował się skład porcelany.

Bozacin, folwark w pow. mogilnickim położony, sprzedany zostanie 20 sierpnia r. b. w drodze subhastacyi przed sądem okręgowym w Żninie. Na termin licytacyi zwracamy uwagę rodaków. Obszaru ma Bozacin 137 83 30 ha., taksa landszafty wynosi 78 000 marek.

Kłecko, dnia 22-go lipca 1900. Wolą lagowską pod Kłeckiem, własność p. P. Boeltera, najpiękniejszy folwark okolicy naszej, nabył przedwczoraj p. Dyr. Sikorski z Poznania dla Banku Parcelacyjnego na Piekarach nr. 18 w celach parcelacyjnych. Znane dogodne warunki kupna i długoletnia spłata umożliwią rolnikom naszym nabycie kawałka dobrej gleby. Są to 413 mórg skiba w skibę pszennej i buraczanej ziemi. Okolica ta ma wielką przyszłość, bo subskrypcya na potrzebną ilość mórg buraków przyszła do skutku i cukrownia niebawem w sąsiednim Działyniu stanie, a proponowana linia kolejowa z Gniezna przez Skoki do Rogoźna będzie miała główną stacyę w poblizkim Zakrzewie, dobrach JWPana Chełmickiego. Dziś właśnie w zastępstwie Banku objąłem zarząd Woli. *Leon Kędzia.*

Pan Dr. Stasiński, okulista w Poznaniu, wyjechał dnia 28-go bm.

Poniec. Towarzystwo Przemysłowe w Poniecu urządza w niedzielę, dnia 29 lipca r. b. zabawę letnią w strzelnicy. Wymarsz z chorągwią z lokalu Towarzystwa o godz. 4 po południu. O liczny udział członków i gości prosi Zarząd.

Września. Towarz. Przemysłowe w Wrześni urządza w niedzielę, dnia 29 b. m. zabawę latową w lasku Sokołowskim. Czytelnikom tamtejszym zwracamy na to baczną uwagę. Początek o godz. 2.

Od Redakcyi.

Panu Ad. J. Połczyńskiemu w Komornie Wielkiej. Najuprzejmiej dziękujemy za wyrazy uznania dla „Pracy“ i prosimy o łaskawą dalszą pamięć.

Panu K. Pr. w Roż... Udajcie się Panowie w tej sprawie pod adresem „Kupiec, Konsum-Verein Wąbrzeźno“ — Briesen — W. Pr. — po bliższe szczegóły odnośnie po statut.

F. Robocie od Prudnika. Nie wiemy o co Panu chodzi i na jakie listy mamy odpowiedzieć?

Pani Małgorzacie S. w Bydgoszczy. Nuty z melodjami polskiemi na fortepian poleca księgarnia polska, Tempłowicza w Poznaniu, hotel Fracuzki.

Pan Wojciechowski Wodzisław. (G. Ślązk.) Księgarnia Gebetnera i Spł., Kraków.

Panu F. X. Drzewieckiemu w Gnieźnie. Za trzy razy po 1,50 mk., razem 4,50 mk., o których nadesłanie prosimy.

Panu Adamowi Michałowskiemu w Konstantynopolu. Herb polski w kolorach już jest w robocie i otrzyma go Pan najpóźniej za 3 tygodnie. Ze składką na zakupienie domu Mickiewicza idzie bardzo leniwie — smutno niestety!

Panu Majdrowiczowi w Ostrowie. Notatka doszła nas za późno już po wydrukowaniu numeru 29-go na 15-go b. m.

Panu Andrzejowi Nowakowi w Przytocznicy. Powieść „Pod maską“ jest u nas za nadesłaniem kwitu i 60 fen. każdego czasu do nabycia i wysełamy takową odwrotnie.

Księgarnia H. Altenberga, Lwów. Num. regularnie do końca kwartału wysełaliśmy. Nr. 24, 25, 26 i 27 wyczerpane.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**